

To był Lot nad kukułczym gniazdem

Wojciech Bafeltowski: Każdy z nas oglądał „Lot nad kukułczym gniazdem”, każdy z nas oglądał film „Hair”, to gdzieś w nas tkwiło.

Jarosław Dubiel: To było... pierwszy taki pomysł to była książka Jawłowskiej „Drogi kontrkultury” i wtedy bardzo dużo ciekawych tekstów i pojęć trafiło do mnie i szerszej grupy przyjaciół z którymi się już wcześniej kolegowałem.

Zdzisław Kulawik: A moja droga do WiP-u była taka, że pamiętam jak na studium wojskowym nauczali mnie, jak załadować zdezelowanego kałacha. Po co? Żeby życie odebrać komuś? Mnie to przeraziło i w sposób naturalny krok po kroku, z WiP-em się przeszedłem przez kawaleczek swojego życia.

Na studium wojskowym nauczali mnie, jak załadować zdezelowanego kałacha. Po co? Żeby życie odebrać komuś?

Krzysztof Gotowicki: Ja miałem takiego bliskiego kolegę – Andrzej Misk się nazywał, pewnie znane nazwisko. My bardzo nie chcieliśmy iść do wojska, a czuliśmy, że ten czas się nieubłaganie zbliża. Mimo, że mój ojciec był zawodowym wojskowym, a może to trauma po stanie wojennym, kiedy przeszukiwano u mnie mieszkanie szukając ulotek, ale ja nigdy nie chciałem do tego wojska iść, głównie przez sprzeciw sumienia. Uważałem, że nie ma sprawiedliwej wojny, że to nie jest sposób na rozwiązanie konfliktów międzynarodowych. Nie chciałem uczestniczyć przede wszystkim w wojsku Ludowym, nie chciałem składać tej przysięgi, chociaż była to dla mnie sprawa głębsza. Zawsze byłem idealistą i pacyfistą, widziałem, że te konflikty zbrojne niczego nie rozwiązują, wręcz przeciwnie. I dlatego WiP.

Uważałem, że nie ma sprawiedliwej wojny, że to nie jest sposób na rozwiązanie konfliktów międzynarodowych.

Jarosław Dubiel: Miałem taki etap, że chodziłem jako pacjent do szkolnego ośrodka socjoterapii, gdzie odbywały się rozliczne terapie i to też w pewien sposób wpłynęło na moje myślenie. Pamiętam pierwszy taki moment kiedy myślałem, że da się to upolitycznić to był rok 1980 kiedy wraz z Wojtkiem Frąckiewiczem pracowaliśmy w ochotniczych hufcach pracy pod Szklarską Porębą, gdzie doprowadziliśmy do strajku, a to była budowa dla pierwszego sekretarza KC, bunkry podziemnie, jakieś niesamowite historie, baseny wykładane marmurami i myśmy tam nie mieli wstępu, no w każdym razie udało nam się jakąś akcję zrobić, opisać to, zaprzyjaźniłem się z Mariuszem Wilkiem. Mariusz Wilk jako pierwszy w imieniu takiej wąskiej grupy przyjaciół pojechał skonsultować sprawę z Kuroń. Były to czasy kiedy nic właściwie nie miało szansy, żeby zaistnieć bez akceptacji Kuroń, tak że Wilk pojechał do Kuroń, ale Kuroń go wyśmiał twierdząc, że „co wy kurwa białych myszek chcecie bronić?”

Kolejny moment to była dopiero sprawa z Markiem Adamkiewiczem, ale też Marek Adamkiewicz nie był pierwszy, pierwszym ze środowiska opozycji był Roland Kruk, który został relegowany z uczelni ewidentnie za działalność polityczną, oficjalnym powodem był brak jakiegoś zaliczenia, spowodowany jakąś tam jedną czy dwoma nieobecnościami. Roland został wyrzucony z uczelni i od razu dostał bilet do wojska. Tak więc pierwszym był Roland Kruk, który odmówił przysięgi no można by powiedzieć pierwszy z tego grona opozycji, która też wtedy nie była wielka, bo się cała mieściła u Jacka Kuroń na przyjęciu urodzinowym. Roland ma prawdopodobnie jeszcze listy, gdzie Kuroń mu pisał żeby on się nie wygłupiał, że z wojskiem nie można zadzierać, ale Roland się nie ugiął, przysięgi nie złożył, On siedział w 1979 – opozycji garstka a bezkres policji olbrzymi. No i Roland się nie ugiął, nawet miał w tym wojsku nieźle, bo wybierano go do rad koleżeńskich. oficerowie też nie bardzo wiedzieli jak go traktować bo wszelkie standardowe upodlenia nie miały szans, gdyż natychmiast były komentowane przez Wolną Europę. Później odmówił Leszek Budrewicz i kolejny był Adamkiewicz.

Pamiętam jeszcze to był chyba 1983 jak Larrego, czyli Grzegorza Lindenberga spotkałem i on powiedział, że fajnie by było jakiś ruch pokojowy założyć i mieliśmy na ten temat myśleć ale nic nie wymyśliliśmy na ten temat. Podpisałem petycję o uwolnienie Adamkiewicza. Później się okazało że jest głodówka, wziąłem udział w tej głodówce i tam się zaczęło wykluwać coś więcej.

Kuroń mu pisał żeby on się nie wygłupiał, że z wojskiem nie można zadzierać, ale Roland się nie ugiął, przysięgi nie złożył.

Jacek Szymanderski: Zaczęło się od aresztowania Marka Adamkiewicza, ale ja mogę powiedzieć, skąd ja się znalazłem w WiP-e, bo tu od razu trzeba zaznaczyć, że ja od średniego wipowca jestem o pokolenie starszy. Odesłanie przeze mnie książeczki nie zrobiło na nikim wrażenia, dlatego że zgodnie z prawem za półtora roku przechodziłem do absolutnej rezerwy. Przyszedł do mnie Jacek Czaputowicz, którego znałem i z interny i nie z interny i powiedział, że byłby zainteresowany, że ma zamiar taki ruch rozwijać, żebym ja się w to jakoś włączył, również jako łącznik, że tak powiem, z dorosłą opozycją. Była głodówka w Podkowie Leśnej. Ja nie brałem udziału w głodówce, dowoziłem jakiś prelegentów, sam działałem jako prelegent. Kręciłem się w kółko obsługując tę głodówkę natomiast nie brałem udziału w głodówce. Potem sobie poszedłem siedzieć na Rakowiecką i po tam 9 miesiącach wypoczęty wyszedłem na wolność i wtedy się włączyłem w działalność WiP-u pełną parą, to znaczy poświęciłem temu tyle czasu ile trzeba było, ile mogłem i tak dalej.

Jacek Czaputowicz: Marek Adamkiewicz, odmowa złożenia przysięgi, a zwłaszcza jego zatrzymanie i skazanie, to był taki moment, aby zintegrować środowisko, jego znajomych działaczy NZS-u, a wcześniej SKS-u w obrobie kolegi. Mieliśmy takie niezależne biuro interwencyjne – wywodziło się korzeniami jeszcze sprzed Sierpnia 80, kiedy powstało akademickie biuro interwencyjne, a wcześniej było jeszcze SKS. Postanowiliśmy działać bardziej otwarcie, złożyliśmy petycję do rady państwa, do sejmu, wydaliśmy ulotkę.

Przechodziliśmy do innej jakby bardziej zdecydowanej formy działania, no i przyjmuje się słusznie, że takim przełomowym momentem była głodówka w Podkowie Leśnej w marcu 85 roku, no bo już trzeba było działać pod nazwiskiem, zdecydowanie wyrazić swoją postawę. To już nie były tylko demonstracje anonimowe, czy też działania na nawet jawnych protestach i petycjach, ale trzeba tu już coś więcej poświęcić.

Przełomowym momentem była głodówka w Podkowie Leśnej w marcu 85 roku, no bo już trzeba było działać pod nazwiskiem, zdecydowanie wyrazić swoją postawę.

Jarema Dubiel: Od początku się staraliśmy, aby to nie była organizacja polityczna sensu stricto, tylko żeby to był ruch i żeby miejsce w tym ruchu było właściwie dla wszystkich, którzy zgadzają się z naszym celem i jakimiś etycznymi środkami dążenia do tego celu. Podpisałyśmy deklarację wymyśloną przez Kraków – wiadomo było, że to głównie konserwatyści, prawica i KPN. Z mojego punktu widzenia było w porządku. Łączy nas wspólny cel, czyli ta armia, a jak osiągniemy zwycięstwo, to znowu możemy się podzielić i kłócić o wizję armii czy o jej brak. Ten pomysł chwycił i nie miał wielu oponentów tym bardziej, że ten sam początek to wydawał się być kompletnie szalony. Kilka osób podpisało się własnymi nazwiskami wychodząc z tej jakby ukrytej sfery.

Drogi do wolności

Zdzisław Kulawik: WiP to jest 1985 rok, ja studiowałem na Politechnice Częstochowskiej, przechodziłem szkolenie wojskowe, patrzyłem na ten bezsens, idiotyzm, jacyś faceci ubrani na zielono ucą mnie jak zapier... drugiego

człowieka, odkrycie tego, to był szok, zrodził się wtedy bunt przeciwko jakiegokolwiek przemocy! U mnie było to na zasadzie obudzenia się takiej świadomości, dostrzeżenia wartości życia każdej istoty, nie tylko człowieka. Po skończeniu studiów musiałem odwalić roczną służbę wojskową, ja się zacząłem uchylać od tego obowiązku. To był maj 85 rok, przyszła milicja i zabrała mnie na dołek. Drzwi wywalone, zakuto mnie w kajdanki. Ja znalazłem taką lukę prawną, miałem czasową niezdolność, w końcu zamknęli mnie za unikanie obowiązku, maksymalne kolegium i tyle.

Ireneusz Ziółko: No raczej nikt, żaden młody chłopak do wojska nie chciał iść, no chyba że chciał być nie wiem komandosem albo maczo. To była strata czasu przede wszystkim. Uważałem wojsko za instytucję represyjną, a szczególnie wojsko ludowe, ludowe wojsko polskie, które służyło systemowi szczególnie po 1981 roku, po stanie wojennym, to już było ewidentne. Skontaktowałem się z ruchem Wolność i Pokój. Podawali pełne dane swoje czyli adres swój zamieszkania telefon ewentualnie i tak dalej. Ja sie z Jurkiem Kolarzowskim skontaktowałem, bo akurat pierwszy był na liście. Poszedłem do niego do domu, czy zadzwoniłem wcześniej, już nie pamiętam teraz. On mnie przyjął i zaczęliśmy rozmawiać. Poradził mi co mam robić, żebym wysłał przede wszystkim jakiś list, dlaczego nie chcę iść do ministra... Siwickiego chyba wtedy był. Powiedział, że mogę się włączyć do akcji wysyłania książeczek wojskowych. No to też odesłałem książeczkę.

Małgorzata Gorczevska: W WiP-ie byłem od samego początku. W 85 roku podpisałem deklarację ideową. Znalazłem się w WiP-ie z Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, w którym działałam w Gdańsku. Po maturze przyjechałam do Gdańska i zaczęłam tam świadomie szukać różnych kontaktów opozycyjnych, bo chciałam coś robić. Znalazłam się w Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, to była organizacja anarchizująca, opozycyjna, gdzie m.in. pacyfizm i sprzeciw przeciwko służbie wojskowej był jednym z podstawowych dominujących tematów, o których pisaliśmy w „Homku“. I gdy Wojtek Jankowski powiedział, że jak otrzyma kartę powołania, to on odmówi i nie będzie się ukrywał, to był dla nas szok. Oczywiście w RSA moi koledzy wiedzieli, jak uniknąć wojska, gdzie załatwić sobie zaświadczenia lekarskie czy cokolwiek, żeby nie iść do wojska. A Wojtek powiedział: ja świadomie odmawiam i idę do więzienia. I w tym momencie, gdy Wojtek Jankowski podjął taką decyzję, to myśmy stwierdzili, że zrobimy wszystko, żeby nagłośnić tę sprawę. Jak Wojtka aresztowano, on miał już kontakt z ludźmi z WIP-u, bo to było już po zatrzymaniu Marka Adamkiewicza.

Gdy Wojtek Jankowski powiedział, że jak otrzyma kartę powołania, to on odmówi i nie będzie się ukrywał, to był dla nas szok.

Wojciech Jankowski: Urodziłem się w 1964 roku i takim pierwszym zetknięciem się w ogóle ze światem życia społecznego i polityki był sierpień 1980. W 1980 w lipcu byłem na wakacjach na Litwie w wiosce, gdzie wychował się ojciec i jako jedyny stamtąd wyemigrował po drugiej wojnie światowej i widziałem tam telewizję, radziecką telewizję, która od czasu do czasu wspominała coś o tych wydarzeniach w Gdańsku i w Polsce w ogóle i to były tak kompletne brednie, że nawet jako taki małałat już to wyczuwałem. Jak przyjechałem do Gdańska to panowała euforia, klimat karnawału, było jeszcze przed podpisaniem porozumień, cała stocznia opisana napisami, pełno ludzi na dachach tych stoczniowych budynków i zacząłem się interesować. Chodziłem z kumplami po MKZ, chodziłem wówczas do szkoły w Gdańsku-Wrzeszczu i tam był MKZ. Rozdawano bibuły, jakieś publikacje na temat syberyjskich przycąg, Katyniów, Orląt Lwowskich itd. Niespecjalnie się z tym identyfikowałem, ale mi się udzielił taki klimat wolności. Jak Jaruzel wprowadził stan wojenny to był szok ogromny, bo nagle jakby ta cała propaganda, którą widziałem na radzieckiej Litwie pojawiła się w Polsce.

Jedynymi ludźmi którzy serio traktowali przysięgę wojskową byli ci, którzy jej odmawiali, reszta po prostu klepała nie myśląc nawet co.

Od 13 grudnia ohydne kłamstwa. Jak się mieszkało w Trójmieście i widziało się te demonstracje, widziało się tych ludzi, a potem w telewizję słyszało, że grupka chuliganów gdzieś tam zakłóciła porządek, to człowiek mógł się wkurwić. I tak się stało. Pamiętam zrobiłem taką pieczętkę z ryjem Jaruzela i podpisem „uwaga zbroczeniec“, wielkości kasy magnetofonowej, to był hicior, ja byłem tak wściekły, że gdzieś tam organizowałem papier, naciąłem zeszyty, no co się dało, no i bez kitu ze 100 tysięcy tego natrzepałem, spuchły mi ręce, potem do kaptura przyczepiłem i nogą walilem i tak wiele dni, taki stempelek. To był hicior, bo ludzie to sobie do kaset magnetofonowych wsadzali bo to było sypane jako ulotki, rozklejałem i w ogóle. Potem jak się zetknąłem z takimi podziemnymi grupami opozycyjnymi to wszyscy myśleli że gdzieś powstała jakaś poważana grupa opozycyjna, bo wszędzie tyle tych ulotek. W szkole metalowej we Wrzeszczu chodziłem do klasy z Cezarym Waluszką, który był bratem Jasia Waluszko, który był znaną postacią w ruchu anarchistycznym no i tak zetknąłem się ze środowiskiem „Jedynki“, pierwszego liceum w Gdańsku, Skiba, Marek Waluszko, Jasiu Waluszko i razem stworzyliśmy Ruch Społeczeństwa Alternatywnego w 1983 roku. Taką foremkę, która niespecjalnie zgadzała się z taką polityką solidarnościowej podziemnej opozycji, a tym bardziej z komuną i ale również z kościołem. Mieliśmy taką silną korbę antykościelną. Zaczęliśmy wydawać pisemko „Homek“, moją główną działką w tych publikacjach był antymilitaryzm. Jakoś to była taka zwiędzona miłość bo jeszcze przed sierpniem 1980 miałem jakieś takie dziecięce majak,i żeby zostać oficerem zawodowym, nawet tak się ubierałem, w jakieś moro.

Kiedyś pomyślałem, że jedynymi ludźmi którzy serio traktowali przysięgę wojskową byli ci, którzy jej odmawiali, reszta po prostu klepała nie myśląc nawet co.

Jak się mieszkało w Trójmieście i widziało się te demonstracje, widziało się tych ludzi, a potem w telewizję słyszało, że grupka chuliganów gdzieś tam zakłóciła porządek, to człowiek mógł się wkurwić.

Zuzanna Dąbrowska: Mieszkałam wtedy we Wrocławiu, chodziłam najpierw do liceum potem na studia, Uniwersytet Wrocławski. Od stanu wojennego właściwie zaczęłam knuć, w różnych konfiguracjach, oczywiście w strasznej konspiracji, nie było to poważne knucie bo miałam 15 lat, więc jakoś knucia nie była wysoka, ale jednak się okazało że jakieś kompetencje posiadam, bo mój ojciec był dziennikarzem w związku z tym maszyna do pisania była. To się okazało że przydział podziemny do robienia matryc i uczenia się redagowania tekstów się znalazł i tak sobie współpracowałam m.im z Adamem Lipińskim. To funkcjonowało przez moje liceum, oczywiście natura moja do konspiracji chyba nie do końca się nadaje, więc prędzej czy później w jakiś akcjach bardziej bezpośrednich zaczęłam brać udział. Była taka akcja polegająca na liczeniu głosów w wyborach samorządowych to się nazywało „5x5“. Pięć pomiarów w ciągu dnia wyborczego żeby badać frekwencję, ja dostała swój punkt i obejrzała gdzie mogę stanąć żeby się w oczy nie rzucać. Problem polegał na tym że, oczywiście Milicja też nie była taka głupia żeby nie wiedzieć gdzie stanąć żeby się nie rzucać w oczy. Więc się tam spotkaliśmy o godzinie 6.05 jak lokale wyborcze otworzono. Ja była z dwoma psami bo wszystko to odbywało się pod kryptonimem spaceru z psami. Jeden pies został aresztowany ze mną, drugi pies, bo był madrym kundlem, udał się do domu żeby powiadomić rodziców. Wtedy trafiłam do aresztu co oznaczało koniec jakiejs głębokiej konspiracji, ku lekkiej mojej uldze, bo ile można wypisywać różne rzeczy na matrycach albo coś poddrukowywać.

Wojciech Jankowski: 23 grudnia 1985, tuż przed wigilią, biorą mnie na rozprawę do sądu Marynarki Wojennej, sędzia Grzybowski, legendarny, który wcześniej Ewę Kubasiewicz skazała na 10 lat za ulotki, taki najbardziej znany z wariatów stanu wojennego. Jestem na sali, adwokat, dwóch koleś z kałaszami jako obstawa, sędzia i nikogo więcej nie ma. Sędzia mówi „I widzicie zostaliście sami, nikt z rodziny, żaden kolega, nikt w ogóle się wami nie interesuje. Jeśli tu teraz podpiszecie że przyjmujecie, to wychodzi zaraz z sali jako wolny człowiek. Wtedy się zjeżyłem, a nie wiedziałem, że te skurwysyny zrobiły podpuchę w zmoście z adwokatem, że o godzinie wcześniej mnie przywieźli niż był termin na wokandzie i oczywiście ich olałem. Jakies tam wygłosiłem buńczuczne oświadczenia, drżącym głosem. Jak wychodziłem z sali, to jeb jak z baśni kupa ludzi, rodzina, wszyscy, taka próba, ostanía próba.

Byli ludzie z WiP-u, Jacek Czaputowicz, Bafel popłakany, Jarema, kupa ludzi z WiPu, rodzina. Czapa przybił piątkę i powiedział, że się tym zajmują i to był taki fajny klimat.

Barbara Hrybacz: WiP miał coś jeszcze takiego – była taka fajna solidarność ludzka, że jeśli którykolwiek z naszych kolegów (no ja jako kobieta nigdy nie służyłam w wojsku, to mi nie groziło) ładował w więzieniu i miał później proces, to myśmy jeździli za nimi i tam po prostu ich wspieraliśmy, żeby te osoby na sali sądowej nie były same, żeby nas widziały. Myśmy ciągle robili taką turystykę sądową.

Przemęczona panna S

– Co było siłą WiP-u, chociażby w porównaniu do Solidarności, bo tamta była ogromna, a WiP był w porównaniu z nią malutki, ale potrafił zaistnieć?

Jarosław Kapsa: Świeżość, świeżość. W okresie pierwszej Solidarności byłem pracownikiem etatowym Zarządu Regionu. Po wprowadzeniu stanu wojennego, po wyjściu z rocznego internowania kontynuowałem działalność w podziemnych strukturach Solidarności, wydawałem podziemne pisma, zajmowałem się kolportażem. Solidarność była wielką siłą, ale ta siła się wyczerpała. Sporo działaczy z prowincji wyjechało za granicę, sporo siedziało, to po tej pierwszej fali, część rezygnowała z działalności, druga fala to ci co podejmują działalność podziemną, ryzykują pójście do więzień. To się fajnie robi przez rok, ale później po roku, dwóch człowiek się zastanawia po co to wszystko robi czy to ma sens? Liczba tych osób w pewnym momencie stopniała. W 1984 roku, to powiem szczerze, że w Częstochowie to nawet rozdać bibulę to nie za bardzo było komu. Ten krąg ludzi, którzy byli gotowi działać w Solidarności się bardzo zawęził. To był ten moment ogromnego dolka. Pewne odbicie, cudowne odbicie nastąpiło po męczeńskiej śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. To był pewien impuls. I w Częstochowie i podobnie w Warszawie, Szczecinie i w paru innych miastach. To było takie pokazanie, że jeśli oni nas chcą zastraszać, to my podnosimy poprzeczkę, prezentujemy się jako jawna opozycja. I wtedy nastąpił ten powrót ludzi, którzy się wcześniej wycofali, a którzy się zadeklarowali, że chcą działać. W 1985 roku ja trafiłem znowu do więzienia. Co prawda nie mieli specjalnych podstaw do procesu, ale wystarczyło, żeby mnie przetrzymać te 3 miesiące w areszcie. Wychodzę z tego aresztu i okazuje się, że mojego komitetu nie ma. Wcale się nie dziwię ludziom, zobaczyli, że jak mnie upolowali, to i ich upolują, więc się powycyfowali. Takie poczucie, że nie mamy z kim działać w tej Solidarności. I w tym momencie pojawiają się nowi, młodzi chłopcy, którzy nie są obciążeni tym poczuciem klęski, beznadziejnością działań i wnoszą nowe, fantastyczne pomysły typu akcje malunkowe, ulotkowe. Są na tyle mobilni, że są w stanie jeździć po Polsce, mają środowisko, gdzie mogą wspólnie organizować akcje. To była nowa, ożywcza fala, nowy wiatr. Gdyby nie doszło do tego buntu pokoleniowego, gdyby nie doszła ta nowa fala do Solidarności, to nie wiem, czy ta Solidarność byłaby w stanie się obudzić. Zużycie materiału było bardzo duże.

W 1984 roku, to powiem szczerze, że w Częstochowie to nawet rozdać bibulę to nie za bardzo było komu. Ten krąg ludzi, którzy byli gotowi działać w Solidarności się bardzo zawęził. To był ten moment ogromnego dolka.

Małgorzata Tarasiewicz: Byłam członkinią NZS-u. Akurat kończyłam studia i pomyślałam że może czas na poważniejsze działania bo akurat nic nie wskazywało, że w Polsce miało się coś zmienić na lepsze. Uważałam, że to jest taka kwestia godności, że jeżeli tu mieszkam i żyję i chcę zachować godność, to muszę coś zrobić przeciwko temu systemowi i nie mogę tak po prostu iść do pracy i tak sobie...

Szukałam różnych kontaktów z opozycją w Gdańsku. I w ten sposób dotarłam do jednego z ważniejszych działaczy przy Lechu Wałęsie, który mi powiedział że to bez sensu żebym ja próbowała w Solidarności cokolwiek robić, bo akurat środowisko gdańskie jest dosyć zamknięte i że ja jako stosunkowo młoda kobieta to najwyżej będę robić

kanapki, a nikt nie wysłucha tego co będę mieć do powiedzenia i nie będę mieć poczucia, że współtworzę to co robię. Ta sama osoba poradziła mi znaleźć kontakt z ruchem WiP. To był 1986 rok. I tak trafiłam do WiP-u.

Uważałam, że to jest taka kwestia godności, że jeżeli tu mieszkam i żyję i chcę zachować godność, to muszę coś zrobić przeciwko temu systemowi.

Barbara Hrybacz: To było lato 1986 roku, gdy i ja się dołączyłam. Bardzo mi się to spodobało, bo miałam wrażenie, że ta nasza konspiracja to już trochę dyszy, że nie ma świeżego ducha. Solidarność bardzo oklapła wtedy. WiP to było coś świeżego, coś fajnego, coś kompletnie nowego. Nazwisko się daje, no ale byłam już znana, więc uznałam że ci ubecy którzy mają mnie znać i tak już mnie znają, więc strachu już takiego nie było, że to mi zagraża w jakikolwiek sposób. Już miałam różne przesłuchania za sobą więc sobie pomyślałam „a co mi tam!”. I to był rzeczywście taki powiew świeżości.

I jeszcze – zadaniowość WiP-u. Nie wielkie: „skończyć z komuną w Polsce” (tak mieliśmy w konspiracji, i na szczęście się udało, ale wtedy wydawało się zupełnie niemożliwe). W WiP-ie były konkretne zadania: służba wojskowa, ludzie trafiali do więzienia, a może służba zastępcza, która teoretycznie istnieje, jak wymóc to? Takie plasterki salami, które trzeba czerwonemu po kolei poodkrawać.

Wojciech Bafeltowski: Ja dosyć późno dotarłem do WiP-u, to jest mniej więcej 1987 rok. Po drodze zdarzyły się takie dwie dla mnie znamienne rzeczy. Po pierwsze działanie Solidarności oświaty, zdobywanie pieniędzy na druk, na tworzenie kursów samokształceniowych. Chciano sprowadzać książki dotyczące nie tylko historii jako takiej, ale i pedagogiki, nowych metod pedagogicznych. 2000 dolarów gdzieś tak dostaliśmy. Panie z władz solidarności oświaty zdecydowały, że został kupiony bursztynowy kaganek oświaty i sprezentowany papieżowi z okazji jego pobytu w Gdańsku. Uznałem, że to bezsens, bo nie chodzi o to, aby pokazać papieżowi coś tam co jest w naszych sercach, ale o działanie.

I druga rzecz dotycząca mojego pobytu w pierdlu – a siedziałem dosyć długo w ciężkich warunkach, siedziałem w celi dla morderców wraz z mordercami. Nikt z Solidarności słupskiej nie przekazał tej informacji dalej, żeby, jak twierdzili, nie pokazywać służbie bezpieczeństwa o możliwych kontaktach Solidarności z „Tygodnikiem Mazowsze”.

2000 dolarów gdzieś tak dostaliśmy. Panie z władz solidarności oświaty zdecydowały, że został kupiony bursztynowy kaganek oświaty i sprezentowany papieżowi z okazji jego pobytu w Gdańsku. Uznałem, że to bezsens, bo nie chodzi o to, aby pokazać papieżowi coś tam co jest w naszych sercach, ale o działanie.

Jarosław Dubiel: 1984 i 1985 to były lata gdy cała opozycja przeżywała ogromny kryzys i ten kryzys objawiał się na przykład tym, że ja roznosząc czy rozwoząc bibulę dowiadywałem się, że gdzieś tam ktoś wyrzucił pół nakładu do Wisły, a ktoś inny „Tygodnikiem Mazowsze” palił w piecu, bo wstydził się powiedzieć, że się boi ,a z drugiej strony właśnie bał się konsekwencji a z trzeciej mówił, że gdyby trzeba było na barykady, to on pierwszy, ale widzi bezsens tego.

Krzysztof Borewicz: Paraliż struktur opozycyjnych regionu środkowo pomorskiego, to był na tyle paraliż że nie podawali informacji o twoim zatrzymaniu do Warszawy, aby nie dawać ubecji informacji o tym, że istniejemy. Więc stwierdziłem, że ta nasza opozycja przechodzi bardziej na poziom jakiś pustych form, gestów, manifestacji zamiast autentycznego konkretnego działania. Przeniosłem się wtedy z NZS-u do Solidarności oświaty niezależnej jako nauczyciel. Robiliśmy różne rzeczy – samokształty, książki. Nagle zacząłem być traktowany jak osoba dziwna, bo propagowałem alternatywne podejścia wobec takiej typowej pedagogiki. No i okazało się, że to też nie bar-

dzo wchodzi w kanon takiej typowej opozycji. Opozycja musiała być katolicka, musiała być wolnościowa, to znaczy niepodległościowa. To, że jesteśmy nauczycielami i potrzebowaliśmy różnych form informacji na temat pedagogiki jako takiej – już było powodem do jakichś niechęci wobec mnie, bo nie wiadomo czego ja w ogóle chcę. Kamieniem milowym dla mnie była sytuacja kiedy potrzebowaliśmy pieniędzy na wydawnictwa niezależne, na drukowanie pisma dla nauczycieli, na robienie różnych filmów i dostaliśmy 2 tysiące dolarów skądś tam. Zaraz była dyskusja, co z nimi zrobić i panie z solidarności oświaty stwierdziły, że najlepszym sposobem na spożytkowanie tych pieniędzy jest wydanie ich na bursztynowy kaganek dla papieża, który zdaje się wtedy był w Gdańsku.

Wojciech Bafeltowski: Siedziałem za wywoływanie niepokojów publicznych. Ubecja robiła wszystko abym ja zeznawał, no a chłopaki z Solidarności stwierdzili, że trzeba dbać o zasady konspiracji i w związku z tym nie przekazują żadnych informacji. To są, według mnie, dwie rzeczy charakterystyczne dla opozycji tamtych lat. Pozorowane działania i rozsypanie się środowiska. Dla mnie już wtedy Solidarność przestała istnieć, to było wąskie grono osób które było już apatyczne a reszta społeczeństwa się wycofała z jakiegoś działania, żadnego pomysłu, żadnej idei to gdzieś się dzieje we własnych ścianach.

Zuzanna Dąbrowska: Ja należę do drugiej fali opozycji. Z głębokiego marazmu, pierwszej połowy lat 80., po stanie wojennym, myśmy się wydobywali jak Wokulski z piwnicy u Fukiera. Stąd brało się nasze przekonanie, że trzeba to robić inaczej niż robią starsi, zresztą każdy z nas miał doświadczenie pracy ze starszymi, myśmy się nie wzięli znikąd, i przestało nam to wystarczać. Chcieliśmy mówić własnym głosem. Mieliśmy dosyć dywagowania o Bogu, Honorze i Ojczyźnie w kontekście działań Gorbaczowa, Papieża, Regana itd. Niezależnie od światopoglądu, nawet konserwatyści, z Krakowa, oni też chcieli mówić własnym głosem i nie chcieli czytać w gazetkach płytkich analiz dotyczących tego, kto przyjedzie na białym koniu i kiedy.

Z głębokiego marazmu, pierwszej połowy lat 80., po stanie wojennym, myśmy się wydobywali jak Wokulski z piwnicy u Fukiera.

To była trauma dużej Solidarności z roku 82-83 kiedy się okazało że naród nie zaprotestował, nie stanął w obronie, naród zniósł stan wojenny, bardzo wielu działaczy na naród się obraziło i, będą złośliwi, poprzesztawało na rautach w ambasadach. Okazało się że naród nie dorósł, z pokłosiem tego do dziś się zmagamy. Stąd się pojawiła następna opozycja, pokolenia 10 lat młodsze. To że były strajki 1988 naszych rówieśników z zakładów to nie był przypadek. Oni często wychodzili wbrew własnym komisjom zakładowym. Tego oczywiście dzisiaj nikt nie chce pamiętać.

Pamiętam strajk na Czerwonym Zagłębiu w 1988 roku. Gdzie region wydał zakaz strajku, pamiętam strajk w Belchatowie podczas okrągłego stołu kiedy delegaci Regionu Mazowsze przyjeżdżali strajk zamykać, a ludzie stali bo im się ni podobało. To byli nasi rówieśnicy, Ci którzy wychodzili na ulice strajkowali. To była tożsamości pokoleniowa.

Niezależnie od światopoglądu, nawet konserwatyści, z Krakowa, oni też chcieli mówić własnym głosem i nie chcieli czytać w gazetkach płytkich analiz dotyczących tego, kto przyjedzie na białym koniu i kiedy.

Krzysztof Borewicz: Struktury Solidarności były w totalnej rozsypce. Pamiętam, że przewoziłem duże ilości prasy czy książek z Gdańska. Miałem coraz większe opory z rozprawdaniem. Docierałem do różnych osób internowanych i oni mówili, nie dziękują. Solidarność była zdeorganizowana, rozsypana – żyli może przeszłością o jakimś pięknym śnie z 1980 roku. Ogólnie przechodziła takie działania czysto teatralne. A jeszcze jedną rzecz pamiętam i ona była dla mnie takim kamieniem kolejnym milowym. Kilkanaście osób posłuchało wezwania Wałęsy do strajku powszechnego. To było związanego coś z podwyżką cen w 1985 bodajże. Wałęsa w ostatniej chwili się wycofuje, nie pamiętam już z jakich powodów. Ileś osób mimo wszystko strajkuje. Takie zakłady na peryferiach Polski bez żadnej ochrony, opieki medialnej. Są mocno represjono-

wani przez ubecję, przez zakłady pracy. Kilka osób dostaje wyroki więzienia. Kilkadziesiąt osób traci miejsca pracy. Organizują z kolegą dwie ciężarówki pomocy. Żywność, ubrania, bo akurat przychodzi zima, dla tych rodzin. Ciężarówkę wyjeżdżają i po jakimś czasie się pytam jednego z osadzonych czy to dotarło. Okazało się, że ciężarówka nie dotarła. Po drodze gdzieś w biskupim zostało to wszystko rozgarnięte. I dla mnie to był obraz solidarności z 1986 roku.

Małgorzata Tarasiewicz: Byliśmy oskarżani przez pojedyncze osoby z Solidarności o to, że byliśmy agentami, gdy opublikowaliśmy w „A Capelli” wiersz pod tytułem „Jan Paweł Drugi Superstar” i przekaz wiersza był taki, że papież jest traktowany jak celebryta, niemalże jak gwiazda rocka np. a nikt nie zastanawia się nad głębszym wymiarem tego co on chce powiedzieć. Ale oczywiście to nie zostało zrozumiane tylko, że my atakujemy papieża, wyśmiewamy się z papieża, czyli jesteśmy agentami SB. Ze Szczecina nie pamiętam już który to działacz nas tak zaatakował. Niektórzy działacze w Gdańsku nas bronili mówiąc, że oni nas znają i że tacy trochę głupi jesteśmy, ale nie jesteśmy agentami. Solidarność dla mnie była taka dość zamknięta, hermetyczna. No w Gdańsku to chyba szczególnie np. myślę że we Wrocławiu to były inne zupełnie doświadczenia natomiast Gdańsk z całym dworem Lecha Wałęsy, gdzie właściwie taka osoba jak ja mogłaby tylko iść i Wałęsowej podłogi myć.

Małgorzata Gorczewska: Był taki moment, szczególnie na przełomie 1985 i 1986, że właściwie Andrzej Miszk siedział za odesłanie książeczki w więzieniu, Jacob, Krzysio też, i jeszcze ze dwie osoby się gdzieś ukrywały i byłam w zasadzie w Gdańsku jedną osobą, która właściwie funkcjonowała. Na początku sprawy związane z wojskiem były dominujące, zajmowałam się zbieraniem informacji o wojsku. Chodziłam do komisji interwencji i praworządności Solidarności, żeby np. uznano Wojtkę Jankowskiego za więźnia politycznego. Nie chciano tego uznać, to były ogromne dyskusje, mówiono: trzeba walczyć o wolną Polskę, a wy nie chcecie walczyć, jak wy chcecie funkcjonować? Nie jesteście patriotami. To była taka różnica pokoleniowa, że dla osób związanych z opozycją, powiedzmy 40–50-letnich nasza postawa pacyfistyczna była nie do przyjęcia. Ponieważ ja podałam swoje nazwisko, jeździłam co dwa tygodnie do Warszawy z informacjami, co się dzieje, kto się ukrywa, co się dzieje w Gdańsku. Zawsze zatrzymywałam się u Jacka i Magdy Czaputowiczów. Poznałam Jacka Kuronia, potem do niego chodziłam z informacjami. I to w zasadzie dzięki pomocy Jacka Kuronia osoby odmawiające przysięgi wojskowej zostały uznane przez komisję interwencji i praworządności Solidarności za więźniów politycznych. Dzięki pomocy Jacka każda informacja, którą przywoziłam, na drugi czy trzeci dzień ukazywała się w Radiu Wolna Europa i Głosie Ameryki. Myśmy zbierali każdą informację o łamaniu praw człowieka w wojsku. Np. jakiś chłopak próbował popełnić samobójstwo to jechaliśmy do tej jednostki i próbowaliśmy się dowiedzieć, co się z nim dzieje, co było tego przyczyną, jak go traktują, czy to wynikało z załamania psychicznego czy ktoś się nad nim znęcał, czy go represjonował. Kontaktowaliśmy się też z ludźmi, którzy się ukrywali, nie chcieli przyjąć karty powołania. Takim osobom udzielać mieliśmy poradnictwa wojskowego, mój adres był takim miejscem kontaktowym.

Chodziłam do komisji interwencji i praworządności Solidarności, żeby np. uznano Wojtkę Jankowskiego za więźnia politycznego. Nie chciano tego uznać, to były ogromne dyskusje, mówiono: trzeba walczyć o wolną Polskę, a wy nie chcecie walczyć? Nie jesteście patriotami.

Małgorzata Gorczewska: Mnie się wydaje, że to był 84-85 rok i solidarność opozycyjna i tak troszeczkę siadła, było w połowie lat 80-tych już niejaki zmęczenie materiału. Społeczeństwo uznało, że był karnawał Solidarności, ten wielki wybuch, który został stłamszony przez stan wojenny i ludzie uznali, że niestety nie uda się w tym kraju nic zmienić i należy się pogodzić z istniejącym statusem politycznym.

– Ale czy można było liczyć na pomoc tej konwencjonalnej opozycji?

Jarosław Dubiel: Tak, tak, tak! Nieoceniona była współpraca informacyjna. Czyli taki Jacek Kuroń miał niesamowity warsztat jeżeli chodzi o nagłośnienie jakiegoś tematu, no bo on był autorytetem dla wszystkich agencji

i dziennikarzy. On od początku kupił temat. Zbyszek Romaszewski był na pewno wielką podporą, bo dzielnie wspierał wszystko co robimy, płacił za nas kolegia więc można było z takim spokojem działać bez tego toporu, że zaraz wejda. Myślę że dziś działalność byłaby trudniejsza z tymi komornikami i wyrzucaniem, to wtedy tego nie było. W Tarnowie siedzieliśmy, to tam Romaszewski przyjechał osobiście samochodem na przykład po nas. Człowiek taki zmęczony, brudny, spocony, bo lato, postresowany, no bo w sumie nie należy do przyjemności nawet 48 godzin w areszcie, no i on przyjeżdża, gdzieś tam zaprasza na obiad samochodem, odwozi no to też było fajne. Autorytetem był dla nas Jan Józef Lipski. Cieszył się niepokalaną opinią i ponieważ pieniądze zawsze są najdelikatniejszą materią i budzącą najwięcej emocji, zwróciliśmy się do Jana Józefa o to by został przewodniczącym rady funduszu WiP – to właściwie była jedyna namiastka jakiejś struktury w WiP-ie to była struktura skarbników; każdy ośrodek miał swojego skarbnika, który w pewien sposób otrzymywał pieniądze na jakieś działania czy na te wykupy z kolegów czy na jakieś inne. Jan Józef Lipski musiał to ogarniać i ogarniał chyba bardzo dobrze.

Barbara Hrybacz: Jacek Kuroń nam bardzo pomagał, bo często się u niego spotykaliśmy, ale Jan Józef był takim autorytetem. Był na czele takiej rady finansowej. Ja byłam w tej radzie i pamiętam, że rozdzielaliśmy te pieniądze. Gdyby ubecja miała dobre rozeznanie, tu naprawdę bardzo można ludzi podzielić. Przecież tylko na papierze były te rozliczenia. Ale nam się to udawało. Nikt pieniędzy nie zdefraudował, ludzie mieli taką uczciwość niesamowitą, że po pierwsze sami nie pomyśleli a drugie, że nikogo też nie podejrzewali. To było takie czyste w swojej postaci, może ja idealizuję ale naprawdę nie pamiętam, żeby na którymkolwiek ze spotkań tej rady w Warszawie były takie problemy. Jan Józef Lipski to w ogóle piękna postać, ta niesamowita szlachetność, dobroć...

Oczywiście były dyskusje, czy robić jedną wielką akcję, czy poszczególne ośrodki mają dostawać pieniądze i mają przedstawić swoją akcję? i która akcja lepsza ta dostanie więcej pieniędzy? Ale dochodziliśmy do konsensusu.

– WiP a kościół?

Jarosław Dubiel: Bardzo dobre stosunki, to się dziś wydaje zaskakujące, ale wtedy wyglądało to tak, że WiP powstał w kościele. Książd Kantorski nikomu tam w spodnie nie zaglądał, ja właściwie anarchista, hipis czy jak tam mnie nazywano, ale jak mnie poprosił, abym przemówił z ambony w czasie mszy to oczywiście to zrobiłem.

Książd Jankowski, który przecież wipowcom z Gdańska użyczył swojej kwatery i tam mieli kanciapę, gdzie spali, jedli, drukowali, robili wszystko i to byli anarchiści. Waluszko to tam wszędzie podkreślał, nikt się z tym nie krył i te anarchie wszędzie fruwały, a mimo to książd Jankowski się zgadzał. W Bydgoszczy Sławek Dudkiewicz zorganizował olbrzymią głodówkę tygodniową, tam chyba 100 osób głodowało. To też było w kościele. Można powiedzieć, że bez kościoła na pewno byśmy mieli o wiele trudniej. WiP nigdy kościoła nie krytykował, i kościół nigdy WiP-u nie krytykował. Oczywiście w Krakowie mieli bardzo dobre stosunki z kościołem. Właściwie wszędzie były bardzo dobre stosunki z kościołem nie było w ogóle problemu żadnego.

Bez kościoła na pewno byśmy mieli o wiele trudniej. WiP nigdy kościoła nie krytykował, i kościół nigdy WiP-u nie krytykował. Oczywiście w Krakowie mieli bardzo dobre stosunki z kościołem. Właściwie wszędzie były bardzo dobre stosunki z kościołem nie było w ogóle problemu żadnego.

Pod własnym nazwiskiem

Wojciech Jacob Jankowski: Uważam, że 1985 to był czas kiedy trzeba było wyleźć już z tych piwnic, przestać się wyglupiać, bo nie groziły już jakieś straszne represje jak wcześniej, że można było za kilka ulotek dostać wyrok właśnie paruletni. Pamiętam, że zupełnie realny był strach, że ludzi gdzieś na Syberię wywiozą, głównie na początku stanu wojennego. W 1985 było widać, że ten tygrys ma spróchniałe zębiska i jakieś duperele, a nie repre-

sje. Znacznie bardziej komfortowo było przestać się bawić w podziemie i wszystko robić zupełnie jawnie. Zresztą zauważyłem, że ludzie siedzący zbyt długo w konspiracji zaczynają dostawać odlotów. Że tam są wszędzie jacyś szpiedzy, że ktoś zagraża... Działając jawnie można było to mieć kompletnie w dupie, a w ukryciu zachować poligrafie żeby jakiegos ubek jej nie zlikwidował, żeby nie skasowali nam zakładu pisma. Natomiast to, że redagujemy takie pismo i nawet je rozdajemy zupełnie jawnie był naprawdę fajne. Publikowaliśmy adresy i podpisywaliśmy się własnymi nazwiskami. Dzięki temu ruch mógł się rozrastać, bo ciężko dołączyć do konspiracyjnej grupy, która coś tam knuje i robi dziwne miny.

Ludzie siedzący zbyt długo w konspiracji zaczynają dostawać odlotów. Że tam są wszędzie jacyś szpiedzy, że ktoś zagraża... Działając jawnie można było to mieć kompletnie w dupie.

Zuzanna Dąbrowska: Dochodzi do głosu nowe pokolenie, dorasta i chce czegoś innego i tutaj dość aktualna uwaga w filmie Andrzeja Wajdy o Lechu Wałęsie. Muzyka w filmie jest muzyką mojego pokolenia, a nie pokolenia Lecha Wałęsy. To ja chodziłam na Dezertera, Oddział Zamknięty, Miki Mauzoleum... i to była moja atmosfera lat 80., moja muzyka, nie Lecha Wałęsy. Sądzę że Wajda bardzo dobrze zrobił że wziął tą muzykę bo to ona odzwierciedla atmosferę lat 80. Mimo wszystko nie Kaczmarek, którego lubię, tak jak Kelusa, Kleyffa. Tyle, że to była muzyka traumy. Kaczmarek to jest muzyka kłęski, to jest muzyka, żeby nie być za bardzo złośliwą, może Zbyszka Bujaka, może Władka Frasyniuka, chociaż pewnie by się na mnie po obrażali, ale właśnie tak. Naszą muzyką jest Dezerter. Nie bójcie się nie bać. Myśmy się nie bali nie bać i dlatego robiliśmy to co robiliśmy.

Myśmy się nie bali nie bać i dlatego robiliśmy to co robiliśmy.

Jacek Czaputowicz: My żeśmy zaproponowali coś zupełnie innego, my żeśmy zaproponowali działalność jawną, otwartą pod nazwiskiem co było ewenementem. Przecież nie można było odesłać książeczki wojskowej nie podając nazwiska, bo przecież nie można było odmówić przysięgi wojskowej pod pseudonimem i my powiedzieliśmy, że my wprowadzamy nowe metody działania, bo tylko te mają szanse rozbić ten system.

Zdzisław Kulawik: To był 87 rok, byłem na spotkaniu dużo starszych kolegów, ludzi związanych z krakowską Solidarnością i KPN, oni mówili. że trzeba działać w konspiracji, pod kryptonimami, bo inaczej nas wszystkich wyłapią i wsadzą, jak mówili – gówniarzy powyłapują, pozamykają i pozabijają. Ja się nie dziwię, bo to byli ludzie z obciążeniem po wyrokach, internowaniu, bardzo ostrożni. Jednak siła jawności była duża i to była siłą WiP-u. Pamiętam takie zdarzenie, jak w związku z tym, że w „Dyskursie” ukazał się mój tekst podpisany z imienia i nazwiska, do pracy przyjechała po mnie esbecja. Jak mnie wyprowadzali zdołałem szepnąć koledze, żeby powiadomił moją żonę. Ona powiadomiła Mariusza Maszkiewicza, on skontaktował się...nie pamiętam, chyba z Reuterem, więc jeszcze dobrze nie posiedzialem, a już Wolna Europa podała, że działacza WiP-u zabrali z pracy i zamknęli. Po 17-tej już o mnie mówili w RWE, a wieczorem już mnie w związku z tym wypuścili. To było naszą siłą. To tak działało i ja tego doświadczyłem.

Małgorzata Tarasiewicz: Nasi sąsiedzi przyszli z naprzeciwka i powiedzieli że chcieliby nam wyjawić, że cały czas jest kamera ustawiona na strychu w domu w sąsiednim budynku i każdy kto wchodzi czy wychodzi jest filmowany i co się w oknach pokaże to samo. Milicja cały czas chodziła za nami a ponieważ cały czas mieszkaliśmy w centrum Sopotu, było to dosyć łatwe. My w ogóle się tym nie przejmowaliśmy. Przyznam, że ja ani się tym specjalnie nie martwiłam ani nie zwracałam na to uwagi. Oczywiście nie mówiłam żadnych tajnych rzeczy przez telefon ani na głos, ale tak naprawdę było to obok. Nie żyłam w żadnym szczególnym napięciu zwłaszcza, że mój adres i dane były wszędzie ujawnione to czego więcej mogliby się oni jeszcze dowiedzieć?

Korzyści były takie, że wiadomo, iż osoby, które działają w konspiracji wykształcają w sobie chociażby podświadomy lęk przed zdekonspirowaniem. Psychologicznie musiało to mieć takie skutki, że pewnie przez wiele lat

z tego wychodzili. My natomiast nie mieliśmy czegoś takiego, tego typu obaw. Natomiast jeszcze korzyścią było to, że każdy mógł się do nas bez problemu dołączyć i nie musiał nas poszukiwać. Wydaje mi się, że to pokazanie społeczeństwu, że można żyć tak jawnie działając to był taki wielki przełom, że to mogło wpłynąć na ludzi przerywając ich lęki i że taka jedna osoba która jawnie z otwartą przyłbicą działa to jest pokazanie setce osób, że może ta psychoza strachu to świadome działanie kogoś, aby utrzymać społeczeństwo w szachu i robić z nim co się chce.

Wydaje mi się, że to pokazanie społeczeństwu, że można żyć tak jawnie działając to był taki wielki przełom, że to mogło wpłynąć na ludzi przerywając ich lęki i że taka jedna osoba która jawnie z otwartą przyłbicą działa to jest pokazanie setce osób, że może ta psychoza strachu to świadome działanie kogoś, aby utrzymać społeczeństwo w szachu i robić z nim co się chce.

Małgorzata Gorczevska: Jak aresztowano Wojtkę Jankowskiego, on miał już kontakt z ludźmi z WiP-u, bo to było już po zatrzymaniu Marka Adamkiewicza. Ja pojechałam do Warszawy, to był październik 85, miałam zamiary na Jacka Czaputowicza, którego nie znałam. Pojechałam do jego mieszkania na Wilczą, powiedziałam: słuchaj jestem z RSA, Wojtkę aresztowano i siedzi. I tam poznałam Jareme, który mi opowiedział o WiP-ie i jawnych sposobach działania i to mi się spodobało i podpisałam deklarację programową. Wracając, jak jechałam pociągiem z Warszawy do Gdańska to sobie myślałam: kurcze, we Wrzeszczu na pewno stoi ubecja i mnie zgarnie, bo pewnie już wiedzą, bo ja to podpisałam z imienia i nazwiska. Jak przyjechałam do Gdańska, to z chłopakami z RSA, bo dziewczyn wtedy tam chyba nie było, to – szczególnie osoby, które drukowały – powiedziały: koniec, zrywamy kontakty, jesteście namierzona, za tobą idzie ubecja. I ja powiedziałam: no ok. Uważam, że koniec konspiracji, koniec takich rzeczy. Mówimy w swoim imieniu, działamy jawnie. I z RSA kilka osób tak poszło: Krzysiek Galiński, który potem odesłał książeczkę, Krzysiek Skiba potem dołączył, również Andrzej Miszk i jego znajomi i przyjaciele.

Anarchole i katole

– Jak mogli w WiP-ie pracować razem ludzie o tak różnych poglądach i korzeniach?

Mariusz Maszkiewicz: Ja myślę, że był wspólny cel: był system opresyjny, oparty w dużym stopniu o ten element militarny, po stanie wojennym praktycznie całe społeczeństwo zostało zmilitaryzowane, duża część w sensie dosłownym i przenośnym została wsadzona do koszar, została wsadzona w kamasze, bo nawet pracownicy w zakładach pracy byli traktowani jako część tego systemu rządzonego przez wojskowych. Była to taka miękka wprawdzie, ale junta wojskowa. Mówię „miękka” w połowie lat 80., nie mówię miękka o stanie wojennym i bardzo trudnym okresie 1982-83.

Jarosław Kapsa: Dopingiem do stworzenia WiP-u w Częstochowie stała się sprawa Mariusza Maszkiewicza. Otóż Leszek Budrewicz, dowiedział się, że jest chłopak w Częstochowie, który odmówił złożenia przysięgi wojskowej i za to spotkały go sankcje, i poprzez swoją koleżankę z Częstochowy zwrócił się do mnie, żebyśmy zbadali całą tę sprawę, i w miarę możliwości pomogli rodzinie Mariusza. Dzięki temu odnalazł się jeszcze jeden człowiek, który zadeklarował się, że będzie tworzył środowisko WiP-owskie, taki młody częstochowski anarchista Artur Kielesiak. Barwna postać, chłopak, który jak już był w liceum, to zaczynał swoje pierwsze akcje, dość brawurowe, współtworzył takie środowisko punkowsko-anarchistyczne. Była grupa osób poważnych, przede wszystkim Mariusz, który po wyjściu z aresztu i zakończeniu tej całej historii wojskowej, dołączył do nas, pozostali to też byli ludzie o takich poglądach raczej stonowanych, chadeckich a z drugiej strony była taka grupa rozszalałych anarchistów jak Artur

Kielesiak i pozostali, których najbardziej cieszyło, że mogli na mieście malowanki robić, i akcje ulotkowe. Jednak pomimo takich różnic mentalnościowych między nami, to jakoś funkcjonowało. Pomimo, że te różnice zachowań, szczególnie tych chłopaków z grupy anarchistycznej, tak czasem człowieka zaskakiwały, stawały się one mniej istotne, gdy już przychodziło do działania. Dobrym doświadczeniem było wydawanie pisma „Dyskurs”, gdzie merytoryczny ton tych artykułów, pisanych przez naszych poważnych kolegów, był świetnie rozładowywany przez ilustracje robione przez naszego anarchistę-punkowca. Świetną mieliśmy ekipę, jeśli chodziło o szybkie akcje propagandowe, dam taki przykład: strajk w Hucie im Lenina w Krakowie. Z wielu powodów nie można było liczyć na akcję protestacyjną hutników częstochowskich, ale przynajmniej można było wysłać tam grupę anarchistów, którzy mury i bramy Huty Częstochowa tak pięknie wymalowała, że władza zdecydowała się wysłać ZOMO, bo spodziewała się strajku. Artur był naszym towarem eksportowym, wysyłaliśmy go na akcje WiP-owskie do innych miast, czy w sprawie Huty Siechnice we Wrocławiu czy w sprawie protestów Żarnowcu, nadawał się do tego, był precyzyjnym pistoletem.

Byli ludzie o takich poglądach raczej stonowanych, chadeckich a z drugiej strony była taka grupa rozszalałych anarchistów jak Artur Kielesiak i pozostali, których najbardziej cieszyło, że mogli na mieście malowanki robić, i akcje ulotkowe. Jednak pomimo takich różnic mentalnościowych między nami, to jakoś funkcjonowało.

Małgorzata Tarasiewicz: Powiedziano mi, że w Gdańsku są takie dwie silne osobowości. Jeden to Wojtek Jankowski, tylko jeśli idę do niego to decyduję się na taką ostrą jazdę, że tam milicja cały czas stoi wokół jego domu i że to rzeczywiście nie będzie łatwe i że to jest taka grupa bardziej anarchistyczna. A druga osobowość to był Andrzej Miszk i grupa która oddawała się bardziej rozważaniom i naukom papieża. Tak więc poszłam do obu, bo chciałam zobaczyć z czego mam wybierać i kto będzie miał coś ciekawego do zaoferowania i tak już zostało że ja i mój ówczesny partner czyli tzw. angielski byli takim punktem gdzie się spotykały te sfery anarchistyczne i kościelne. To wszystko się ścierało i stawało się formą, którą można było nazwać gdańskim WiP-em.

Zdzisław Kulawik: Oczywiście mieliśmy różne motywacje, przypominam sobie, jak poznałem Jacka Szymanderskiego. Jacek był taką osobą wyróżniającą się, ja byłem nieśmiały, rozgorzała dyskusja, że wiele osób się nie zgadzało na wojsko z powodu roty, przysięgi, a dla mnie motyw polityczne były mniej ważne. Moje motywacje nie były natury politycznej, wynikały z mojej postawy wobec życia i cierpienia różnych istot, nie tylko ludzkich. Świat mnie swoją brutalnością i arogancją wobec cierpienia przeraża.

Jacek Szymanderski: To było możliwe na takiej zasadzie, na jakiej było możliwe połączenie inteligencji i robotników solidarności, połączenie skrajnych nacjonalistów i katolików z ateistami i lewicowo myślącymi intelektualistami. To był czas atmosfery rewolucji i walki i jednak jednego przeciwnika. W WiP-ie dominował bardzo styl egalityrystyczny i ten styl powodował pewien relatywizm jeśli chodzi o poglądy: Ty masz takie, ja mam takie i one są w miarę równoważne, to nie jest tak, że ja jestem lepszy i mądrzejszy, a ty jesteś gorszy i głupszy. Mamy różne poglądy i różne sposoby widzenia świata, to może być ciekawe. Tak że w WiP-ie takich naprawdę walk światopoglądowych to ja nie pamiętam.

To był czas atmosfery rewolucji i walki i jednak jednego przeciwnika.

Małgorzata Tarasiewicz: Powierzchnową odpowiedzią jest to, że łączyły nas te wszystkie problemy, że był to sojusz taktyczny, bo jeżeli obie grupy i ta która odmawiała przysięgi wojskowej z powodów pacyfistycznych i gru-

pa, która odmawiała przysięgi z powodu uznania w niej lojalności wobec Układu Warszawskiego, jeśli obie te grupy walczyły o służbę zastępczą i o nie składanie przysięgi, to mieliśmy wspólny cel. Sądzę, że to samo można powiedzieć o Żarnowcu, ekologii i prawach mniejszości. To były sprawy które konkretnie nas wiązały. Natomiast myślę, że WiP był na tyle otwarty i miał w sobie tyle tolerancji i ciekawości, że z tego powodu każdy mógł tam znaleźć dla siebie miejsce.

Myślę, że WiP był na tyle otwarty i miał w sobie tyle tolerancji i ciekawości, że z tego powodu każdy mógł tam znaleźć dla siebie miejsce.

Zdzisław Kulawik: Mogę tylko od siebie powiedzieć, ja mam w sobie dużą akceptację drugiego człowieka, tolerancję, napisałem kiedyś o tym tekst, to jest zawieszenie broni jak na wojnie, ale to jest ciągle wojna a nie pokój. Sama tolerancja by nie wystarczyła, bardzo dużo było akceptacji. Byliśmy młodzi, niczym nie skażeni, myśmy się przyjaźnili, pomagali sobie w różnych sytuacjach życiowych. To był duży poziom akceptacji dla siebie, tolerancja to za mało. Mimo różnic, ja cię akceptuję, staram się być tobą, poczuć to co ty, wracając do swojego ja, zabieram cząstkę ciebie.

Sama tolerancja by nie wystarczyła, bardzo dużo było akceptacji. Byliśmy młodzi, niczym nie skażeni, myśmy się przyjaźnili, pomagali sobie w różnych sytuacjach życiowych.

Wojciech Bafeltowski: W WiP-ie można, mocno upraszczając zauważyć dwie tendencje. WiP noszący znamiona typowego tradycyjnego ruchu społecznego, z dążeniami do organizacji czyli hierarchią itd. I to były środowiska krakowsko-warszawskie. Dla mnie to też byli politycy, czyli wszystko było obliczone na działanie, występowanie i wymyślanie pewnych haseł politycznych, tworzenie stowarzyszeń, oraz oddziaływanie środowiskowe. Ten świat mnie zupełnie nie interesował. Tam nie było raczej miejsca na jakieś Hyde Parki, na happeningi, to raczej były słowne utarczki, albo w pismach gdzieś na temat racji Państwa, racji bytu i tak dalej. To jest tak jakby jedno oblicze WiP-u. Nie bez powodu z tych środowisk wywodzą się osoby, które zawsze popierały państwo jako takie, struktury państwa i jeśli krytykowali struktury wojskowe to dlatego bo były związane ze Związkiem Radzieckim. Z tych środowisk wywodzą się ludzie, którzy po 90. roku poszli na służbę Państwa. To są ci ludzie, którzy potem byli ministrami obrony narodowej, spraw wewnętrznych, sprawowali jakieś wysokie stanowiska na Urzędzie Ochrony Państwa.

A druga strona WiP-u, ta mająca łatkę anarchistycznej, ona reprezentowała nie stronę polityka, ale normalnego obywatela. On chce się bawić, tańczyć, jeździć po świecie, bardzo wiele osób takiego typu ma podobne zainteresowania jeśli chodzi o kulturę. To musi być Monty Python, to muszą być hippisi, muzyka z lat 70., to jest zupełnie inny świat. I tam postulaty polityczne nie były realizowane poprzez rozmowy, konwersacje, jakąś walkę na słowa w jakiś pismach politycznych i przy pomocy struktur, lecz wręcz przeciwnie to ja osobiście decyduję się na walkę z tym systemem w myśl takich a nie innych haseł. Można by powiedzieć nawet, że WiP, ten polityczny, czyli ten Kraków, Warszawa, reprezentuje taką typową opozycję polską z ich hasłami, postawami, próbą zorganizowania się, bo jednak nic z tego nie wyszło oprócz inicjatywy „Czasu Przyszłego”. Ten WiP „anarchistyczny” reprezentuje współczesne postawy społeczeństwa ponowoczesnego, gdzie jest to raczej forma luźnego związku, grupy osób, które się organizują bez konkretnej struktury, bez konkretnego lidera, ale skupieni na skutecznej realizacji celów.

Ale byliśmy sobie wzajemnie potrzebni. Oni pomagali nam pewne rzeczy wypowiedzieć, zrealizować, wykrystalizować. My nie mieliśmy za bardzo czasu, aby siedzieć w tych kawiarniach i knajpkach i rozmawiać, my byliśmy na ulicy, siedzieliśmy w więzieniach, albo organizowaliśmy kolejne demonstracje. Dla mnie i wielu osób ten świat Czaputowicza, Szymanderskiego, czy Rokity, to był świat odległy. Byliśmy razem w WiP-ie, ale byliśmy z dwóch różnych światów. Ale jednak się wzajemnie inspirowaliśmy. Wzmacnialiśmy się nawzajem i byliśmy taką rażącą kulą.

Poza tym dawaliśmy tym politykom trochę uśmiechu. Byli tacy poważni, tacy zadarci w tych swoich marynarkach, też mogli sobie dać na luz.

Krzysztof Gotowicki: Czuliśmy wtedy chwilową, jak się potem okazało, wspólnotę, choć wiedziałem nawet wtedy, że dzieli nas dużo więcej. Mimo to było dla mnie ważne że znalazłem ludzi, którzy tak jak ja, sprzeciwiali się temu systemowi i chcieli konkretnie działać. I co ważne – nie chcieli działać w podziemiu, że to była jawna działalność. Myśmy wiedzieli, że nas inwigilują, przysyłają ciągle jakiś agentów, ale to było wkalkulowane w tę działalność. Wychodząc z podziemia wiedziałem, że oni i tak doskonale wiedzą co ja robię, zresztą nie raz się o tym przekonałem, że przedstawili mój grafik dnia, czy co robiłem w wakacje. Bardzo się jednak dziwiłem jak oni mogą tak marnować czas na mnie, czy ja jestem taką ważną osobą czy co? To ok., jeżeli uważają, że jestem taki ważny. To było wspaniałe w tamtych czasach, że każdy czuł ten lęk. To były czasy, że za taką działalność można było jeszcze dostać, no gdzieś tak na boku, osoby niewygodne mogły zostać wyeliminowane, ale odwaga jest właśnie wydobywaniem się z tego lęku.

Zuzanna Dąbrowska: Dzisiaj powiedzielibyśmy, że mieliśmy zdolność koalicyjną, dlatego, że ponieważ był to inny od wszystkich innych funkcjonujących wtedy ugrupowań, WiP powstał na bazie początkowo dwóch, trzech celów głównych. Jeżeli tym celem było wszystko podporządkowane i tych celów żadna z grup nie negocjowała to była nasze minimum ustawowe.

WiP powstał na bazie początkowo dwóch, trzech celów głównych. Te cele to służba wojskowa, przysięga wojskowa, wypuszczenie więźniów politycznych, ekologia.

Te cele to służba wojskowa, przysięga wojskowa, wypuszczenie więźniów politycznych, ekologia. To były rzeczy bardzo konkretne, bo ta ekologia funkcjonowała nie jako ekologia, bo myśmy nie byli zieloni, tylko myśmy się sprzeciwiali projektom, które zagrażały ludziom. Zaczęło się od Czarnobyla. Żarnowiec, Huta Siechnice, to były bardzo konkretne rzeczy, które trzeba było siłą, ale bez przemocy, wywalczyć i to była platforma która pozwalała funkcjonować bardzo wielu ludziom o bardzo różnych poglądach.

Wojciech Jankowski: To był taki czas kiedy wyznawanie idei nie wiązało się profitami, władzą, sławą, forszą, tylko było wyrazem jakichś wewnętrznych przekonań. Przeciwnik był jeden, komunistyczne państwo i jego służby represyjne, mieliśmy te same problemy, nie mieliśmy paszportów, byliśmy zwiżani, nie mogliśmy publikować. Było bardzo dużo takich postulatów, możliwych do zaakceptowania przez bardzo szerokie środowiska.

To był taki czas kiedy wyznawanie idei nie wiązało się profitami, władzą, sławą, forszą, tylko było wyrazem jakichś wewnętrznych przekonań

Zadziały więzi koleżeńskie przy jakichś flaszkach, fajach marihuany można było się inaczej dogadać niż wypisując podziemne elaboraty gdzie ludzie się kłócili, nienawidzili, na papierze. A w bezpośrednim kontakcie to już zupełnie co innego było, zadziały osobiste sympatie, taki klimat muszkieterów, bonawie, jeden za wszystkich... niezależnie od tego, że jeden jest ogromnym grubasem a drugi małych chudzielcem czy inne rodziny czy coś. Wspólny klimat przeważał.

Przy jakichś flaszkach, fajach marihuany można było się inaczej dogadać niż wypisując podziemne elaboraty

Siła jest w nas

– Dlaczego WiP był taki skuteczny ?

Małgorzata Tarasiewicz: Może dlatego, bo miał metody działania bardziej widowiskowe. To tak samo jak Pomarańczowa Alternatywa, także to było zaskakujące dla komuny, ale i dla społeczeństwa które jako jedyną formę protestu widziało kościół, msze i tak dalej. Natomiast tu nagle wychodzą osoby przebrane za zajączka i sarenkę na dach delikatesów albo kładą się na ziemi i nie wiadomo dlaczego milicja ich niesie i to było szokujące, zaskakujące i z tego powodu bardziej widoczne.

Wojciech Jankowski: Frontmenami było te kilkadziesiąt osób, natomiast kibicowało nam dużo ludzi, czuło się taką sympatię. Np. jak włączyliśmy na jakiś dach czy rusztowanie w centrum miasta to gromadziły się setki albo i tysiące ludzi, którzy nam kibicowali, cieszyli się. Trzeba było ich powstrzymać żeby nie zlinczowali milicjantów, którzy próbowali nas aresztować czy coś, tak że zdarzało się bronić gliniarzy przed linczem.

Myślę że teraz młodzież ma znacznie trudniej niż my, paradoksalnie, że wszystko wolno, ulotkę zrobić na komputerze, kliknąć jeden guzik dostać 1000 egz, w najwyższej jakości. Czy tam wręcz w internecie filmik publikować, tylko że nikt tego nie czyta, nie ogląda, a jak wyjdiesz na ulicę z ulotkami, to pomyślą że reklamujesz jakąś sieć komórka albo pastę do zębów i ci babcia najwyżej parasolką jebnie. Jak trafisz na skinheada to jeszcze będzie bójką. Natomiast wówczas każdy człowiek który występował przeciwko milicji, systemowi represji, był ulicznym bohaterem, to był bardzo komfortowy klimat dla takich wystąpień. Milicja tam czuła się głupio.

Jak włączyliśmy na jakiś dach czy rusztowanie w centrum miasta to gromadziły się setki albo i tysiące ludzi, którzy nam kibicowali, cieszyli się. Trzeba było ich powstrzymać żeby nie zlinczowali milicjantów, którzy próbowali nas aresztować

Wojciech Bafeltowski: To co było w WiP-ie było dla mnie bardzo ważne, to swego rodzaju odwaga osobista. Dwa to umiejętności współpracy z innymi. To, że jak ktoś szedł siedzieć, to grupa szła z nim, głodując idąc z transparentami na rzecz uwolnienia, nie wstydząc się siebie swojej osoby i nie uciekając się do jakiejś piwnicy do jakiegoś lokalu gdzie mówiono „jesteśmy wielkimi patriotami”.

Ten patriotyzm, ta odwaga cywilna manifestowane były na ulicy, czy przed drzwiami do komendy, przy murze więziennym, to mnie ujęło w WiP-ie.

Barbara Hrybacz: Już nie pamiętam co to miał być za proces w Zielonej Górze. Nie pamiętam kompletnie. Ale pojechaliśmy tam i zrobiliśmy jedną z najczęstszych akcji WiP-u, że się wchodziło jak najwyżej na dach, żeby rozrzucić ulotki, no a potem się stało i czekało. Ja to zawsze stałam i czekałam, bo ja bym w życiu nie zeszła... Jakoś wleźć to człowiek potrafił, ale w życiu bym sama nie zeszła, więc się czekało aż oni przyjadą.

Mariusz Maszkiewicz: Martwi mnie jedna rzecz, że WiP jest traktowany teraz jako taka lewacka formacja, kompletny margines opozycji, jako coś nieistotnego. A pamiętajmy, że w tamtym czasie WiP był takim świeżym powiewem w działalności opozycji demokratycznej w Polsce, i jeżeli coś zostało pozytywnego, to pomyśl na działalność wynikającą z takiej obywatelskiej indywidualnej postawy. Nie masowy ruch, nie wielkie demonstracje, tylko ta indywidualna postawa. Chyba tylko w WiP-ie to było, że pojedynczy człowiek mógł stanąć wobec całego systemu, powiedzieć „nie”, i się okazywało, że to działa, że to ma olbrzymie znaczenie, nie tylko moralne. Ta wartość została, i ja w swojej późniejszej pracy na wschodzie, na Białorusi zwłaszcza, opowiadałem o tym doświadczeniu, i zachęcałem ich do tego, że coś co jest związane z przemocą, z działaniami niejawnymi, krytymi, jest dużo słabsze niż takie działanie wprost.

Chyba tylko w WiP-ie to było, że pojedynczy człowiek mógł stanąć wobec całego systemu, powiedzieć – nie, i się okazywało, że to działa, że to ma olbrzymie znaczenie, nie tylko moralne.

Małgorzata Gorczewska: Mówi się teraz, że w WiP-ie 80 czy 70 osób odesłało książeczki wojskowe i że to mało. Ja uważam, że to ogromny sukces. Facet, który odsyłał książeczkę wojskową skazywał się wtedy na funkcjonowanie poza normalnym nurtem w społeczeństwie. Bez książeczki nie można było podjąć pracy w firmie państwowej, nie można było zmienić miejsca zameldowania, nie można było wyjechać za granicę, paszportów nie dostawaliśmy. Taka decyzja – gdy się ma dwadzieścia parę – wysyłania tej książeczki stawiała taką osobę na granicy funkcjonowania w społeczeństwie na wiele lat. My zaczynając funkcjonowanie w WiP-ie w 1985 roku nie mieliśmy świadomości, że po pierwsze za dwa lata zmieni się ustawa o powszechnym obowiązku obrony, że nam to wyjdzie, a za 3-4 lata upadnie komuna. W strajkach w 1988 roku ludzie mówili, że ten system się chwieje, ja uczestnicząc w tych strajkach tego nie zauważałam.

Facet, który odsyłał książeczkę wojskową, skazywał się wtedy na funkcjonowanie poza normalnym nurtem w społeczeństwie.

Zdzisław Kulawik: Poziom akceptacji innych członków był większy niż gdzie indziej, takie mam wrażenie. Nie był to ruch masowy, wszyscy się znali. Nie było oficjalnie podpisywanej deklaracji przystąpienia. Raczej podpisywało się coś zgodne ze swoim sumieniem. Przyjeżdżało się na spotkanie, gdzie była sala młodych ludzi i z imienia i nazwiska podpisywało się listę.

Wojciech Bafeltowski: WiP dawał to możliwość wyartykułowania mojego nie. Dla mnie to była kwestia własnej wolności wewnętrznej jako obywatela, jako człowieka i tylko WiP tego typu kwestie podejmował. Czy to była kwestia służby wojskowej, gdzie jako człowiek mam prawo odmówić, czy kwestia paszportu, ja jako człowiek mam prawo wyjechać za granicę kiedy ja decyduję i bez żadnych szantażów. Czy to będzie kwestia kultury, ja mam prawo ogłaszać to co myślę i przedstawiać to innym.

WiP dawał to możliwość wyartykułowania mojego nie. Dla mnie to była kwestia własnej wolności wewnętrznej jako obywatela, jako człowieka

Małgorzata Gorczewska: Wielkim sukcesem WiP-u była podmiotowość, że każdy był ważny, mógł się wypowiadać w swoim imieniu, że mój głos był ważny, że ja mogę powiedzieć, że się z tym nie zgadzam. Jednocześnie był to ruch, gdzie były indywidualnie podejmowane decyzje. Nie skupiał tylko ludzi o poglądach anarchizujących-pacyfistycznych, byli też ludzie o poglądach narodo-kościelnych. Sukcesem WiP-u było to, że potrafiliśmy ze sobą rozmawiać i dyskutować na różne tematy i mówiliśmy kim jestem: z imienia i nazwiska z WiP-u z Gdańska.

Barbara Hrybacz: Atrakcyjna w WiP-ie była różnorodność tematów. Na przykład ekologia – w podziemiu w ogóle się nie zajmowaliśmy ekologią. Gdy po czasie patrzę, to widzę, że Ruch Wolność i Pokój był takim ruchem, który bardzo wiele rzeczy zapoczątkował. W konspiracji ani się nie mówiło o ekologii, ani się nie mówiło tak naprawdę o tolerancji. Chyba Jarema wyciągnął sprawę pogromu kieleckiego, więc tolerancja wobec Żydów, że my jako Polacy też mamy swoje grzechy na sumieniu. Przyjeżdżaliśmy do Kielc, a ludzie w ogóle nie wiedzieli nawet co to jest. Albo historia Otto Schimka, też nie pamiętam kto wyciągnął jego historię. Otto Schimek to był ten Niemiec, który nie chciał strzelać do Polaków. To znaczy on w ogóle nie chciał strzelać. Był dla nas bohaterem nie dlatego,

że nie chciał strzelać do Polaków, tylko on w ogóle nie chciał strzelać, nie chciał ludzi zabijać. Staraliśmy się pokazywać takie sprawy nie idąc w stereotypy.

I wybuchł Czarnobyl...

Jacek Czaputowicz: To jakoś było wiosną 85, byłem wtedy w więzieniu na Rakowieckiej, raptem się pojawia zupełnie inne menu: warzywa w wielkich ilościach, a tu się okazało że ludzie nie jedli tego i nam to przywozili.

Jarema Dubiel: Pracowaliśmy we Wrocławiu, myśmy prace wysokościowe robili, i akurat wybuchł Czarnobyl, udało mi się przekonać Budrewicza, który zarządzał Wrocławiem, po ciężkiej dyskusji udało się go przekonać, że będzie dobrym pomysłem jeśli zrobimy sitting 2 maja. 1 maja okazało się, że policja bije ludzi, krzyki „przec z komuną”. Ani słowa, że 29 kwietnia wybuchł Czarnobyl, Wszyscy robotnicy pierwszomajowi dalej zapętleni w swojej walce krzyczeli „Solidarność”, w ogóle nie czując, nie widząc tego Czarnobyla. Potem my robimy sitting, gdzie policja chodzi wokoło w ogóle nie widząc jak się zachować, ale nas nie rusza. To był pierwszy sitting w Polsce – jawny siedzący protest – i jak mówiłem policja nie zareagowała bojąc się kompromitacji międzynarodowej, bo ta wiadomość by była bardziej ciekawa dla mediów całego świata niż to, że robotnicy się tam pierwszomajowo tłuką no i właśnie na to liczyłem.

Wszyscy robotnicy pierwszomajowi dalej zapętleni w swojej walce krzyczeli Solidarność, w ogóle nie czując, nie widząc tego Czarnobyla.

Wojciech Jacob Jankowski: Żarnowiec to był taki mój konik. Wakacje od wczesnego dzieciństwa spędzałem nad jeziorem Żarnowieckim. Tam wychowała się moja mama we wsi, gdzie później była główna baza budowlanców. Pamiętam to jezioro, wioski i okolice jako taki raj, to były takie stare kaszubskie kecze, kryte słomą, nad jeziorem stało z pięć kutrów, taka mała przystań rybacka, gdzie łowiono ryby. Przy każdym domu była taka mała wędzarnia, gdzie wędzono węgorze i węgorze to był towar free, taki że można było do oporu wcinać najlepsze wędzone węgorze świata, lasy na około pełne grzybów, dzieci na sianie, bajka. Potem nagle skurwysyn bolszewik zaczął robić tam budowę elektrowni atomowej i te piękne wsie znikły i pojawiły się ohydne betonowe bloczki, na dobitkę z cementu kradzionego z budowy elektrowni. Wiedziałem, że ta budowa to jest jeden wielki złodziejski pic. Materiały, jak to za komuny kradziono, było to tzw. organizowanie materiałów.

Potem okazało się, że nawet fundament pod reaktor był tak zubożony o cement a wzbogacony o piach, że pękła jeszcze przed wyschnięciem. Nie miałem żadnych złudzeń, że jest to gówno, i zaczęliśmy jeszcze jako RSA o tym mówić, też na zjeździe WiP-u w Marcinkowie, ale pamiętam że wtedy tylko Jacek Czaputowicz mówi „tak, tak sprzeciwianie się elektrowniom atomowym jest w zachodnich ruchach pacyfistycznych dosyć modnym tematem więc możemy to wziąć”. Potem jebnął Czarnobyl i przestał to być jedynie spryt Czapy, a zrobił się to ogólnospołeczny postulat. A jak się odbyło referendum, do którego udało nam się doprowadzić różnymi akcjami już po okrągłym stole, to była jakiś druzgocąca klęska budowlanców.

Skurwysyn bolszewik zaczął robić tam budowę elektrowni atomowej i te piękne wsie znikły i pojawiły się ohydne betonowe bloczki, na dobitkę z cementu kradzionego z budowy elektrowni.

Wojciech Bafeltowski: Szczególnie energetyka jądrowa bo właśnie nie była to dla mnie kwestia czy jest do nieracjonalna gospodarka energii elektrycznej to znaczy to też, ale dla mnie to była kwestia pysznej i aroganckiej posta-

wy władzy, która zupełnie nie chciała się konsultować ze społeczeństwem, które miało prawo o siebie dbać. Bo to jest dla pewnej grupki osób korzystne i całkowicie pomiatano społeczeństwem.

Po 20-30 latach bez niej nadal istniejemy (energii jądrowej), także ta kwestia sprawiła, że bardzo mocno, bardzo silnie zająłem się energią jądrową.

Jacek Czaputowicz: I ta nowa świadomość ekologiczna po Czarnobylu. Jeśli nie ma kontroli społecznej to może dojść do jakiejś katastrofy ekologicznej.

Barbara Hrybacz: Głódówka w Międzyrzeczu to była taka specyficzna trochę, bo to ludzie lokalni robili. Ja tam dojeżdżałam. W Międzyrzeczu chodziło o to, aby nie składować odpadów radioaktywnych w bunkrach poniemieckich, gdzie był rezerwat i nadal chyba jest rezerwat nietoperzy. Zresztą niesamowity jest ośrodek i sam bunkier jest niesamowity taki super klimat jest. Ja jeszcze jako licealistka z Gorzowa jeździłam tam z harcerzami. Teraz tam jest wszystko pozabezpieczone, tylko z przewodnikiem trzeba, ale za naszych czasów to było wszystko na dziko. I jak władza chciała zrobić tam składowisko odpadów radioaktywnych, my ekologodzy mówiliśmy, że te bunkry muszą być dla nietoperzy.

W WiP-ie było coś takiego, że się ludzie mobilizowało dla jakiegoś celu. Byli rolnicy, i mówimy im: słuchajcie jak te odpady radioaktywne będą, to nie jest sprawa tylko tych biednych nietoperzy, które możecie mieć w nosie, tylko będziecie mieli pola zatrute. I wtedy się rzeczywiście angażowali, bo widzieli, że to ich problem. Dzięki temu się udawało tych ludzi lokalnych jednoczyć, stawali się antykomunistami, walczyli z komuną. To było fajne.

A z bunkrami nam się udało!

Jadą goście, jadą...

Jacek Czaputowicz: Protesty pokojowe na Zachodzie to był pewien geopolityczny problem. Jak w tej sytuacji Polska i opozycja polska powinna się zachować? Ruchy pokojowe były wykorzystywane przez władze w Polsce, a zwłaszcza w Moskwie. Przecież to były protesty przeciwko rozmieszczeniu rakiet amerykańskich w Europie Zachodniej. Chodziło o to, aby się w ten nurt dyskusji włączyć i mieć wpływ na sytuację geopolityczną, na ruchy pokojowe, a przez to i na władzę w Polsce i w Moskwie, żeby nie mogły wykorzystać tego ruchu pokojowego instrumentalnie jako instrumentu do polityki antyamerykańskiej. Stąd pomysł powstania ruchu pokojowego, który akcentował specyficzne problemy występujące w Europie środkowej. Zwłaszcza w Polsce. To ładnie zostało ujęte w deklaracji WiP – nie ma pokoju bez wolności, czyli nasz międzynarodowy wkład do tej dyskusji polegał na tym, że sam pacyfizm, że pacyfizm w ogóle to jest błędna droga, że trzeba to koniecznie łączyć z prawami człowieka, bo tylko wówczas wraz z przestrzeganiem praw człowieka, wolności, demokracji, tylko wówczas ten pokój będzie miał trwałe podstawy.

Nasz międzynarodowy wkład do tej dyskusji polegał na tym, że sam pacyfizm to jest błędna droga, że trzeba to koniecznie łączyć z prawami człowieka, bo tylko wówczas wraz z przestrzeganiem praw człowieka, wolności, demokracji, tylko wówczas ten pokój będzie miał trwałe podstawy.

Jacek Szymanderski: Ja z poglądów oczywiście nie lubiłem wojska zwłaszcza Ludowego Wojska Polskiego. To nie mój duch, ja mam ducha niewątpliwie pacyfistycznego i nieco anarchistycznego, więc mi ten WiP odpowiadał. Ale dla mnie wtedy WiP był przede wszystkim taką okazją polityczną. Polegało to na tym, że w owym okresie, mówię o roku 86, 87, Związek Radziecki miał znakomite kontakty z potężnymi ruchami pacyfistycznymi na Zachodzie, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, ale nie tylko, te ruchy pacyfistyczne potrafiły nieźle namieszać. Jeżeli byśmy sięgnęli zresztą do prasy czy elektronicznych mediów okresu PRL-u wtedy, to w takiej „Trybunie Ludu” zobaczymy, że dość często pojawiają się wzmianki, że właśnie kolejny protest przeciwko broni atomowej na terenie Wielkiej Brytanii, że tam roz-

sądni patrioci domagają się jednostronnego rozbrojenia i tak dalej. Dla nas wiedzących i przekonanych, że najgorsze zło to jest Związek Radziecki było jasne, że jeżeli możemy w jakikolwiek sposób popsuć te kontakty, zrobić to w taki sposób, aby nie dało się tego tak eksploatować, to należy wykorzystać tę okazję. Także Jacek Czaputowicz to widział. To była prosta sprawa. Po prostu ci zachodni pacyfiści, jadąc do Moskwy – symbolicznie mówiąc – musieli po drodze uściskać się z nami. Gdyby tego nie zrobili to straciliby wszelką wiarygodność u siebie. To jak to? W Polsce protestują pacyfiści przeciwko obowiązkowej służbie wojskowej, żądają zgody na sprzeciw sumienia, a my tutaj ich omijamy. Więc oni musieli i musieli się wypowiedzieć pozytywnie. Jak już to zrobili, to dla Moskwy stracili smak całkowicie.

Ci zachodni pacyfiści, jadąc do Moskwy symbolicznie mówiąc musieli po drodze uściskać się z nami. Gdyby tego nie zrobili to straciliby wszelką wiarygodność u siebie.

Mariusz Maszkiewicz: To był ciekawy proces. Ja miałem to szczęście, że w 1986 roku, dzięki prof. Tischnerowi, wyjechałem na kilka miesięcy do Niemiec i w Getyndze otarłem się o środowiska akademickie, poznałem wielu ludzi, którzy mieli raczej konotację lewicowe – Zieloni, ekolodzy. W trakcie rozmów z nimi zorientowałem się, że oni nie mają kompletnie rozeznania, jak to wygląda w Polsce, i stwierdziłem, że to jest naszym zadaniem, żeby przeprowadzić taki proces uświadamiania. Najważniejsze było w ogóle nawiązać z nimi kontakt, a jak już to uświadomić im, że jak tak protestują przeciwko jednostkom militarnym w NRF, to niech też mają odwagę protestować przeciwko jednostkom wojskowym w Legnicy, Świdnicy, Bornem Sulinowie. Im brakowało tej wiedzy, albo nie chcieli wiedzieć, patrzyli na ZSRR bardzo idealistycznie i myśmy tę skorupę z ich oczu zdjęli.

Zuzanna Dąbrowska: To mniej więcej jak w piosence Kelusa „Papierosy Białomorkanał”. Koleś śpiewa o dwóch niemieckich lewakach, którzy nie bardzo wiedzą co palą i podmiot liryczny opowiada o tym ilu ludzi zginęło przy budowie kanału Białomorskiego i na końcu zadaje sentencjonalne pytanie „Powiedz Willi kto tak naprawdę wygrał tę ostatnią wojnę” i wychodzi na to że to wcale nie my tylko oni. My im cały czas próbowaliśmy pokazać, że posłuszeństwo ruchów pokojowych wobec ZSRR pachnie agenturą. Oni starali się nam pokazać że świat rządony przez amerykański departament stanu będzie mocno smutny i mieli na to bardzo mocne argumenty, choćby z Nikaragui w tym czasie. Tak sobie gaworzyliśmy dochodząc do wspólnego wniosku, że generalnie władza światowa nie do końca się sprawdza, że może potrzebna są nowe instytucje, że potrzebujemy wzmocnienia np. ONZ. Krótko mówiąc potrzebujemy alternatywy, a zbudować ją możemy jedynie my, wymieniając się doświadczeniami, a jeżeli nie będziemy tego robić, to pozwolimy na ten zamysł, który rządzącym przyświeca, czyli na podział świata, który jest w ich interesie, bo tylko on daje i m władzę. To były bardzo różne grupy, począwszy od zielonych zachodniemieckich, przez, co sobie niezwykle ceniłam, ludzi z NRD, którzy się przedstawiali na różne sposoby. Dzisiaj Wolfgang Templin jest w Warszawie, jest dyrektorem Fundacji Bölla. Wielka Brytania, ruchy pokojowe różne, USA – oczywiście intelektualści ze wschodniego wybrzeża, Francuzi od komunistów przez trockistów, organizacje związkowe. Force ouvrière zorientował się że w Polsce, oprócz Solidarności, jest coś więcej.

My im cały czas próbowaliśmy pokazać, że posłuszeństwo ruchów pokojowych wobec ZSRR pachnie agenturą. Oni starali się nam pokazać że świat rządony przez amerykański departament stanu będzie mocno smutny.

– Jak wyście się z nimi porozumiewali?

Jarosław Dubiel: Po angielsku. To były ruchy, które tak naprawdę bardzo szybko przyjmowały nasz punkt widzenia. Ten nasz punkt widzenia był taki, że byliśmy przeciwko tam okupacji Nikaragui, ale wy musicie zobaczyć, że Afganistan, wtedy jeszcze okupowany przez Rosjan, no to jest hańba. I podpiszemy się pod tym waszym apelem, ale

wy musicie się podpisać z drugiej strony, że też gwałcą Afganistan. Ta zmiana świadomości ruchów pokojowych, to na pewno tylko nasza zasługa. Nikt inny w Polsce nie miał w ogóle tego doświadczenia i my dla nich na pewno byliśmy partnerem i to bardzo wyczekiwanym, bo z drugiej strony kurtyny.

Zuzanna Dąbrowska: Byłam na konferencji na Żytniej w 1987 roku, która okazała się dla mnie obciążona wieloma konsekwencjami, także osobistymi w postaci małżeństwa. Konferencja była takim trochę świętem. Po pierwsze była wyzwaniem logistycznym bardzo dużym. Wynajęcie autokarów dla jakiś opozycjonistów, poruszanie po Warszawie z logiem WIP-u. Doprowadzenie do tego, że się wejdzie w ogóle na teren tego kościoła, rozpracowanie logistyczne.

Tutaj koledzy i koleżanki z Warszawy bardzo dobrze sobie poradzili. Myśmy starali się pomagać. Ja na konferencji zajmowałam się redagowaniem informacji, biuletynu konferencyjnego, no i stąd potem, pojechaliśmy do Karkowa a potem do Tarnowa.

Dzięki międzynarodowej obstawie. To była taka ironia, że jednak boją się tych zachodnich pokojowców zatrzymywać. Najgorsza represja to że ich na granicy nie wpuszczono, 40 procent chyba.

Jacek Szymanderski: Konferencja w maju 1987 na Żytniej to było ciekawe wydarzenie. Miałem zaszczyt i przyjemność ją prowadzić, tak że siedzieliśmy za stołem prezydialnym Czaputowicz, Ikonowicz i ja .. Ikonowicz jako tłumacz. Ikonowicz biegły w różnych językach i do tego bystry, nam tłumaczył. Władze nie wiedziały, czego chcą i to było świetnie widać po przyjazdach i zatrzymaniach delegacji zagranicznych, niektóre delegacje zostały zatrzymane a inne puszczone, co więcej nie było w tym klucza, nie można powiedzieć, że puszczali jakoś politycznie albo z jakiegoś kraju a innych. Władza w ogóle nie wiedziała co z tym zrobić. Sama konferencja też miała taki bardzo malowniczy przebieg, dlatego, że odbywała się w niedokończonych jeszcze domach katechetycznych. Nie było szyb, były takie trochę bardziej zamknięte pomieszczenia w piwnicy, ale ponieważ o ile dobrze pamiętam deszcz nie padał, deszcz nam nie przeszkodził w związku z tym rzeczywiście po pewnym czasie wszyscy wyleźli na podłogę z tych piwnic. Była także o ile pamiętam kuchnia polowa, ale nie mam pojęcia kto ot załatwił. No i ci pacyfiści zachodni przyjechali. Po prostu kicz pogoda i niedokończone baraki! Ludzie siedzą tymi swoimi tyłkami na ceglach, jedzą z kuchni polowej, no atmosfera była dokładnie taka jaka miała być i wyraźnie się to im podobało! Konferencja była wielkim przełomem, bo była to pierwsza jawna z zaproszonymi gośćmi z zagranicy od czasu stanu wojennego z nagłośnieniem ogólnoeuropejskim i amerykańskim.

Małgorzata Gorczewska: To były ciekawe spotkania. Pamiętam, że przyjechali kiedyś z jakiejś organizacji francuskiej z propozycją, żebyśmy ich poparli, żeby zbojkotować koncert BP, który degradował środowisko. My, że ok, możemy podpisać petycję, ale w Polsce nie ma stacji BP, tylko sa stacje CPN. Jak oni przyjeżdżali, ich problemy dla nas wydawały się marginalne, a oni patrzyli na nasze też. Niewiele było punktów wspólnych, ale wzajemnie się uczyliśmy. Podpisywaliśmy indywidualne traktaty pokojowe. Polegało to na tym, że ja jako Małgorzata Gorczewska z takim Krzysztofem Klimo z Hamburga podpisuje, że jeśli będzie konflikt między NATO a Układem Warszawskim, nie wezmę udziału w walkach, tylko mogę pomagać ludziom cywilnym. To było bardzo ważne. To ode mnie coś zależało, nie reprezentowała jakaś grupa, jakaś frakcja, tylko ja podejmuję taką decyzję.

Kobieta i mężczyzna

Zuzanna Dąbrowska: To nie jest tak, że przyjechało stado naiwniaków a dowodem na to była historia zatrzymania Amerykanki, feministki, która została zatrzymana we Wrocławiu podczas happeningu Pomarańczowej Alternatywy i jak zaprowadzono ją na komendę okazało się że jest kalendarz z rozneglizowanymi panienkami na ścianie. Nic jej nie interesowało tylko to, żeby zrobić tym milicjantom karczemną awanturę, że jest to pohańbienie, że to jest miejsce publiczne, że goły biust tam absolutnie nie pasuje, że mają to natychmiast zdjąć. Oni byli w ostrym szoku, nie wiedzieli o czym ona do nich mówi, to było kompletne nieporozumienie w efekcie wypuścili ją bardzo szybko żeby jej się po prostu pozbyć.

– **Można by powiedzieć, że WiP rozpoczął w Polsce ruch feministyczny?**

Jarosław Dubiel: Nie, feminizmu nie było w WiP-ie. Było tak, że rzeczywiście Gosia Tarasiewicz była feministką i jest do dzisiaj, ale tak naprawdę 95 proc WiP-u to byli faceci dalecy od feminizmu albo bardzo dalecy, a w każdym bądź razie ironizujący. Nawet w kręgu „A Capelli” pamiętam do dzisiaj ze wstydem taką historię, jak Gosia przyniosła tekst o jakiejś licealistiche zgwałconej przez nauczyciela, a my jak takie typowe męskie szowinistyczne świnię zaczęliśmy mówić, że sama pojechała z nim, to jej wina no i inne takie teksty, których dzisiaj pewnie bym się wstydził powiedzieć. I ja poczułem że Gosi jest chyba smutno, że siedzi z takimi dupkami, którzy tego tematu nie rozumieją.

Zuzanna Dąbrowska: Specjalnie się nad feminizmem nie zastanawiałam wtedy, aczkolwiek byłam po lekturze paru książek. Ale traktowałam to bardziej jako nurt z historii walki o prawa człowieka, o prawa wyborcze. Natomiast w WiP-ie wrocławskim było w ogóle dużo dziewczyn. Marek Krukowski chyba był takim promotorem równości. On zawsze pytał, mówił: „no dobrze, ale to może dziewczyna powinna się tym zająć, wyjść do mediów czy coś tam zrobić, żeby nie ciągle sami faceci. Zawsze namawialiśmy dziewczyny, które przychodziły nowe i wahały się, w czym wziąć udział.

Udział kobiet pokazywał, że to jest pozytywny protest, że nie chodzi o samą zadymę. Pokazywał ludziom determinacją samego ruchu. Jeżeli siedzi 10 chłopaków i dają się ściągać, to może być wstrząsające ale wiedzieli co chcieli. Jeżeli siedzi 10 chłopaków i 10 dziewczyn i dziewczyny są ciągane przez milicję, to pokazuje, że sprawa można jest bardzo ważna bo one tam usiadły i o coś im chodzi.

Zresztą mam na ten temat anegdotę, piękna scena była pod PDT kiedy robiliśmy sitting, zaczęli nas ściągać, wyjątkowo nieprzyjemna ekipa milicyjna była, i publiczność stała i patrzyła, bo była przyzwyczajona, że na Świdnickiej zawsze ktoś kogoś tam arestuje i ktoś coś robi. No i jakoś nieszczęśliwie mnie wzięli ten funkcjonariusz, nie tak jak powinien. Z tłumu wyrwała się starsza pani z siatką, walnęła go na odlew krzycząc: „Chamie! panience się spódniczka podwinęła!” – bo wszystko można było, tylko trzeba było zachować jakieś formy, nie można było ciągnąć po betonie żeby spódniczka się podwinęła, jakby się nie podwinęła to ok.

Uczestnictwo kobiet mieliśmy wpisane chyba najbardziej ze wszystkich grup które funkcjonowały wtedy w opozycji, może jeszcze w Pomarańczowej była równa liczba kobiet.

Udział kobiet pokazywał, że to jest pozytywny protest, że nie chodzi o samą zadymę. Pokazywał ludziom determinacją samego ruchu.

Barbara Hrybacz: Wszędzie były kobiety. To niesamowite, że Jacek Kuroń zawsze mówił: małe kobietki zrobią rewolucję, nie bójcie się, nas zamkną a kobietki zrobią rewolucję.

Na Hyde Parku

Krzysztof Borewicz: Idea Hyde Parku czyli jak to Krzysiek Skiba nazwał, złot umłodzieży kontrowersyjnej wywołała się z takich obozów harcerskich i spotkań pod namiotem. Po prostu pewne takie środowisko alternatywne w Trójmieście stwierdziło, że możemy pojechać sobie razem pod namiot i sobie tak swobodnie pogadać i te pierwsze Hyde Parki to była grupa kilku, kilkudziesięciu osób w sposób taki zupełnie swobodny gdzieś tam się stowarzyszająca przy napojach w namiocie. Potem jeden z pomysłów na Hyde Park to wyjazd pod Częstochowę. Próby jakiejś agitacji antymilitarystycznej, totalnie bez oddźwięku w tym środowisku hipisowskim. Potem była Białogóra.

Wojciech Bafeltowski: Hyde Parki spełniały rolę pewnej trybuny, miejsca kontaktowego, miejsca wymiany informacji, oraz miejsca określenia tego kim jesteśmy i czego tak naprawdę chcemy. Do tego dochodziła oczywiście muzyka, wydarzenia, happeningi.

Wojciech Jacob Jankowski: Hyde Parki, ma ich pomysł wpadł Skiba w 1983, tuż po stanie wojennym, w klimacie mocno represyjnym. Nie więcej niż 100 osób się zjechało z namiotami w miejscowości Złota Góra, nad jeziorem, nie pamiętam jakim.

Tam rozbiliśmy namioty, umawiając się pocztą pantoflową, żadnych publikacji. Trwało to 2-3 dni. Wszyscy zwinęli, zostały dwa namioty, mój i czyjś. Przyjechała milicja, ktoś doniósł, i pytają czy gdzieś tu w okolicy nie widzieliśmy większego zgromadzenia namiotów. Skąd, jakie namioty!

Ktoś tam z Łodzi odgrywał jakąś sztukę, dyskusje, dużo picia, taki fajny klimat wolnościowy. Potem w 1984 chyba się powtórzył, nie pamiętam. Pamiętam kolejny jak siedziałem w więzieniu na Kaszubach w wiosce Zwartowo w 1986, dostałem 10 godzin przepustki i całkiem niedaleko odbywał się Hyde Park nad jeziorem Wyspowo i z tej przepustki poszedłem na Hyde Park. Człowiek na tym więziennym wikcie, po iluś miesiącach kryminału, znajduje się w jakiejś takiej freakowsko-hipisiarskiej wiosieczce, gdzie unoszą się opary trawy, piwa. Po jakichś dwóch godzinach byłem dętka leżąca gdzieś i w tym momencie nalot milicji, otacza cały ten teren, mnóstwo milicji, samochody wjeżdżają. Ja byłem tak kompletnie zrezygnowany że nie chciało mi się gdzieś ukrywać, uciekać czy coś. Pamiętam że Gośka Gorczevska, Tomek Żmuda, jeszcze ktoś, przez jakieś krzaki holowali mnie do samochodu i zawieźli mnie pod bramę kryminału. Powrót z przepustki był chyba najgorszym przeżyciem, jakie pamiętam z więzienia, że trzeba było na nowo do tego kryminału świadomie wejść, pomimo że można było się gdzieś ukryć. Ale chodziło o sprawę.

W 1987 zamiast organizować Hyde parki ogłosiliśmy taką zbiórkę WiP-owsko-anarcholską sympatyczną na złocie hipisów w Częstochowie, w czasie pielgrzymek. Ja już bywałem wcześniej ze dwa razy, nie na pielgrzymce, ale na takim hipisowskim obozie pod Częstochową, pod klasztorem. Tam był od dawna taki klimat, że milicja się nie wpięprza, bo to impreza kościelna. Poza fanami Matki Boskiej, byli tam ludzie którzy szukali jakiejś enklawy wolności, Hari Kriszna, gitarki, anarchiści, hipisi. Tam zrobiliśmy spotkanie hydeparkowe, rozdawaliśmy nasze publikacje, ulotki. Niektórzy hipisi byli strasznie wkurwieni na to, że rozwalamy taką ich apolityczną wizję.

Po majowych strajkach była Białogóra. Potem w 1989 już ostatni, masowy, było ze 2-3 tysiące ludzi, taka rzeźnia, trochę jarocińska, gdzieś tam na poligonie pod Drawskiem Pomorskim.

Niektórzy hipisi byli strasznie wkurwieni na to, że rozwalamy taką ich apolityczną wizję.

Ireneusz Ziolk: To bardzo fajna imprezka, to było w Białogórze nad morzem... siedziało się tam chyba z tydzień czy dłużej nawet. Plenerowa, namioty jakiś wóz taki z głośnikami gdzie muzyka, jakieś koncerty były. No to było też fascynujące, że tam była wolna trybuna w zasadzie, taka że każda myśl każde słowo... Zresztą to takie hasło, które tam wisiało, że „myślą nie zatrzymasz pały, pałą nie zatrzymasz myśli.” Pamiętam jeden taki fajny epizod jak chłopaki w pewnym momencie wycaili gości z SB, którzy tam dużym fiatem podjechali tak z oddali to tam obserwowali. Podeszliśmy do nich i ich zaprosiliśmy do środka i tak dalej, że po co się chować po krzakach lepiej... zapraszamy do dyskusji.

Oni za bardzo nie chcieli dyskutować to zrobiliśmy szpaler do wyjścia z oklaskami i tak dalej. Panowie wyszli, tłumacząc się gęsto, to było dosyć zabawne.

WiP po WiP-ie

– **WiP miał szansę przetrwać 1989?**

Wojciech Jacob Jankowski: Zależy co by się już rozumiało pod terminem WiP, bo według mnie jest znacznie lepiej, że WiP zaniknął i ludzie, którzy robili kariery w polityce już robili je na własny rachunek, a nie pod szyldem WiP-u, czy czerpiąc z niego soki, co by stworzyło jakąś niesłychaną rzeźnię międzyludzką, kłótnie, mnóstwo zawiści. A tak po prostu to się rozplynęło jak grupa zadaniowa, która zrobiła swoje i potem każdy sobie idzie i robi

co chce. Teraz co prawda jest kilka osób które mają żal, że ktoś tam zrobił karierę a inny nie. Kto komu broni robić karierę? Jak ktoś lubi wchodzić w takie klimaty biznesowo-polityczne przecież może to w każdej chwili zrobić, nie trzeba w tym, celu robić WiP-u, a ja się akurat cieszę że WiP jako większość w takich kierunkach nie polecał. Jeśli coś po nas zostanie na najbliższe lata to być może taka legenda Janosików, którzy w odpowiednim momencie zrobili to co należy, nie koniecznie potem odcinając od tego kupony.

Jeśli coś po nas zostanie na najbliższe lata to być może taka legenda Janosików, którzy w odpowiednim momencie zrobili to co należy, nie koniecznie potem odcinając od tego kupony.

Jacek Szymanderski: Myślę, że każdy z nas ma prywatną końcówkę. Ja byłem ostatni raz na zjeździe wipowskim w Poznaniu to był kwiecień chyba 1989 roku. To już była kampania wyborcza. Dla mnie WiP wtedy się skończył. Ja wtedy się wdałem w posłowanie i w kampanie wyborczą.

Małgorzata Tarasiewicz: Nie widzieliśmy w ogóle dla siebie miejsca. Pamiętam Jankowski, jako jedyny z naszej grupy, został spytany, czy nie chciałby wziąć udział w jakimś stoliku młodzieżowym przy okrągłym stole. Myśmy mieli świadomość, że my wszyscy jako WiP byliśmy postrzegani jako zbyt radykalni, aby być jakimkolwiek partnerem dla nowej władzy. Teraz gdy o tym myślę, to śmieszy mnie, że ktokolwiek mógłby tak pomyśleć, ale ja tak naiwnie myślałam, że jak potworzą się nowe ugrupowania, to przynajmniej będziemy brani pod uwagę jako eksperci od takich spraw jak ekologia, prawa człowieka itd. Czy jako osoby, które mogą rzucić jakąś inną perspektywę na te sprawy, na to jak ma być kształtowana polityka w Polsce, ale nikt nie był zainteresowany naszą perspektywą. Gdy Wojtek został zaproszony do tego stolika młodzieżowego, to leżał cały dzień u siebie w piwniczce i był załamany, bo z jednej strony chcieliśmy brać udział w tym wszystkim, bo do tego dążyliśmy ale z drugiej strony Wojtek był traktowany jako zwykły token, aby można było powiedzieć „proszę i z WiPu– kogoś mamy i proszę z ligi kobiet”, że nikt tego nie traktował poważnie, że to była taka bzdura i w końcu nie poszedł i większość nas w Gdańsku miała takie poczucie dużej klęski, że tak zostaliśmy zupełnie wykluczeni.

Myśmy mieli świadomość, że my wszyscy jako WiP byliśmy postrzegani jako zbyt radykalni, aby być jakimkolwiek partnerem dla nowej władzy.

– I WiP nie przetrwał wejścia w wolność.

Małgorzata Gorczewska: Nie, nie przetrwał. Jak przyszła po okrągłym stole zmiana ustrojowa, każdy z nas miał inne spojrzenie na to co się dzieje w Polsce. Wielkim sukcesem było to że została wprowadzona zastępcza służba wojskowa. Drugim sukcesem było to, że odbyło się referendum a Gdańsku i wstrzymano budowę elektrowni w Żarnowcu. 1989 rok to był rok nadziei, przemian. Wiele osób stwierdziło, że to co miało być zrobione, zostało zrobione. W naszym środowisku trójmiejskim nie było osób, które miałyby aspiracje polityczne, żeby wejść w coś i siłą rzeczy jest to taki moment, kiedy pozakładaliśmy rodziny, urodziły się nam dzieci.

Zdzisław Kulawik: Wiele osób zaangażowało się zgodnie ze swoim światopoglądem, bądź w stricte działalność polityczną, partia, parlament... Moim zdaniem, rzeczy sztandarowe dla WiP-u zostały zrealizowane: rota przysięgi zmieniona, służba zastępcza wprowadzona, Żarnowiec i Siechnice zamknięte, wojska radzieckie wyprowadzone. Kraj budzi się do nowej rzeczywistości, demokracji, dochodzimy do momentu, co by nie powiedzieć, że jesteśmy ludźmi wolnymi.

Dziś mogę na swojej wsi, nalać benzyny do samochodu i jechać aż do Portugalii nad Atlantyk i nikt mnie po drodze nie zatrzyma. Czy to nie jest objawem wolności? No jest! Oczywiście ta wolność ma swoją cenę, związaną z bez-

robociem, sytuacją ekonomiczną wielu ludzi, taką czy inną, no świat jest złożony. Część kolegów jak Janek Rokita, poszła w działalność polityczną i parlamentarną, z częścią nie było mi po drodze, np. z anarchistami, możemy lubić się, napić razem kielicha, ale pod czarną flagą anarchistów to ja nie pójdę. Nasze drogi w sposób naturalny się rozchodzą. Bez urazy i obrazy. Jeden lubi balet drugi rock and roll.

Rzeczy sztandarowe dla WiP-u zostały zrealizowane: rota przysięgi zmieniona, służba zastępcza wprowadzona, Żarnowiec i Siechnice zamknięte, wojska radzieckie wyprowadzone.

Zuzanna Dąbrowska: Dla mnie WiP się skończył kiedy usłyszałam że Piotrek Niemczyk poszedł do UOP.

Mariusz Maszkiewicz: W 1989 – 1990 roku nasze drogi szybko się rozeszły, już nawet w końcu 1988 roku nastąpiło mocne pęknięcie, bo wspólnie z Rokitą, Czaputowiczem – i Marek Kossakowski brał w tym udział – założyliśmy takie środowisko Czas Przyszły, troszeczkę poważniej patrząc na kwestie związane zwłaszcza z obecnością Polski w dialogu międzynarodowym dotyczącym kwestii rozbrojenia, bezpieczeństwa, czy innego spojrzenia na system bezpieczeństwa w Europie.

Barbara Hrybacz: Skończyła się komuna. Pamiętam, że były zjazdy, z których już jakby nic nie pamiętam. Jakiś taki był zjazd w Rabce na przykład, gdzie wszyscy ze wszystkimi się tylko kłócili i już w ogóle nie było wiadomo, o co chodzi. Czuło się właściwie, że jak się ta komuna skończyła, to tego celu takiego głównego nie ma.

Wojciech Bafeltowski: Pracowałem w szkole i stwierdziłem, że WiP też się kończy, że to jest jakby kwestia zmiany pokoleniowej, patrzyłem w kategoriach biomarszu. W związku z tym pracując z młodzieżą tworzyłem pewne środowisko na które patrzyłem z pewnym przymrużeniem oka...taką młodzieżówkę VIPu. Czyli jeśli działacze odejdą, bo każdy z nich jest zmęczony, ma rodzinę i tak dalej, żeby przyszły osoby, które mają taką postawę obywatelską czyli dzieci z podstawówki potem to się rozszerzyło i według informacji UB było to z 50 osób. Oczywiście wszystko to robiłem na miarę możliwości aby nie było jakiś represji, czy szykan. Uczylem pewnych postaw oznaczających „nie zgadzam się”, albo „mogę formułować swoje wnioski i postulaty”. Zaczęło się od robienia happenin-gów, od robienia szablonów. Już 2 lata później okazało się, że ta najmłodsza opozycja PRLu najaktywniej dołączała się do protestów anty jądrowych, ale też o czym w WiPie się już zapomina, młodzież odmówiła wzięcia udziału w zajęciach z przysposobienia obronnego w szkołach i takie akcje zakończyły się też sukcesem.

– A jakieś wartości z WiP-u ci zostały?

Zdzisław Kulawik: – Tak, od tego czasu kiedy obudził się we mnie sprzeciw na zabijanie, jestem wegetarianinem, bo nie mam zamiaru pozbawiać życia kogokolwiek. Każdy jak mu siędzie na rękę komar, to go zabije, ja go strącę...

– Zostało coś z WiP-u?

Wojciech Jacob Jankowski: No pewnie, siedzimy sobie, ja to cały czas czuję taki żywy przyjacielski klimat, jak się spotykamy, a tutaj przez tą leśną polanę to się już przewinęło na pewno z 30 wipowców przez dwa lata. Kontaktujemy się jakoś tam. Ci którzy poszli w politykę nigdy nie byli koleżeńscy za bardzo, ani jeden. (śmiech)

Ci którzy poszli w politykę nigdy nie byli koleżeńscy za bardzo, ani jeden.